

JERZY PIETRKIEWICZ

POEMATY LONDYŃSKIE
i
WIERSZE PRZEDWOJENNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

POEMATY LONDYŃSKIE
i
WIERSZE PRZEDWOJENNE

«BIBLIOTEKA KULTURY»

TOM CXVIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

JERZY PIETRKIEWICZ

POEMATY LONDYŃSKIE

i

WIERSZE PRZEDWOJENNE

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1965

SPIS RZECZY

<i>Od Wydawnictwa</i>	9
<i>Od Autora</i>	11

WIERSZE Z LAT 1940-1953

Poemat	15
Kula magiczna	21
Pokarm cierpki	27
Eskadra 303	29
Kościółowi Polskiemu w Londynie	31
Co mniejsze	32
Litania do Boga-Ojca	34
Warsaw Concerto	39
Ballady dobrzyńskie	41
Pokusy mistyczne	48
Rozmowy ze śmiercią	51
Siewna	62
Bressuire	64
Droga	65
Interpretacja słońca	66
Przystanek: 1944	67
Sznur pereł dla Aury	68
Sennik szatański	75
Motyw	82
Stygmaty	83
Miniatury	86
Statyczne: dziś względne	88
Powszednie	90
The spelling of love	92
Norwid	96

Błądny rycerz	98
Anty-wiersz	102
Indeks życia	104
Piąty poemat	106
Modlitwy intelektu	115
Sielanka stołeczna	124
Ostatni wiersz	131

WIERSZE Z LAT 1935-1939

1920	137
Ziemia Dobrzyńska	138
Śmierć	139
Bajka o czterech braciach	140
Prowincja (fragment)	141
Wiersz egzotyczny	151
Do poezji polskiej	152
Straszna opowieść	154
Wieś	156
Jaskółka	158
Geneza poezji	159
Elegia narodowa	161
Tragiczna choć wolna młodość	163
Niepokój	166
Ojczyste	168
Rachunek sumienia	169
Pensjonat	171
Autentyzm	173
Wiersz który karku nie ugnie	174
Msza święta	177

PRZESŁANIE

Modlitwa do Matki Boskiej Skępskiej	195
Noty bibliograficzne	197

OD WYDAWNICTWA

Trzydzieści lat temu wyszedł pierwszy tom poezji Pietrkiewicza; w roku 1953 zaczęła się jego niezwykła kariera w powieści angielskiej. Znamienne jednak, że właśnie krytycy obcy zwracają często uwagę na rodowód poetycki autora, który w ich ocenie „jest jednym z naszych najbardziej inteligentnych i oryginalnych powieściopisarzy”. W ten sposób starają się poniekąd wytłumaczyć cechy jego talentu w eksperymentalnej budowie powieści i w odkrywczym języku.

Ze strony polskiej jedynie Jan Bielatowicz w szkicu porównawczym¹, a przedtem Florian Smieja, spróbowali dopasować twórczość angielską Pietrkiewicza do jego genezy poetyckiej i regionalnej. Brak przedruków utrudnia zadanie, stąd konieczność opublikowania wyboru, choćby skromnego rozmiarami jak obecny, który oddajemy do rąk Czytelników.

„Porzucił język, nie porzucił dziedzictwa wyobraźni”: Bielatowicz wskazuje na ciągłość i konsekwencję rozwoju Pietrkiewicza. Niewątpliwie w strukturze nowoczesnego poematu, w skrócie epigramatycznym i w metaforze, nasyconej konkretami codzienności, poeta stworzył swoją własną formę, ale poza techniką pisarską widać przeżycia religijne, tym bardziej wyraziste im trudniejsza staje się nasza epoka pogardy i zwątpienia. W młodzieńczych utworach Pietrkiewicza uderza autentyzm człowieka pochodzącego ze wsi, dokładność obserwacji, uміłowanie szczegółu. „Synteza krajobrazu i zdarzenia wprost cudowne”, pisał o poemacie Prowincja krytyk Hulka-Laskowski, „geografia i topografia lokalizują uczucia i obrazy”. Przed trzydziestu laty był to

1. *Wiadomości*, 14. VI. 1964.

regionalizm odkrywczy o celach podobnych do późniejszej poezji Dylana Thomasa. Ta sama Ziemia Dobrzyńska stanie się tłem pierwszej powieści angielskiej Pietrkiewicza, *The Knotted Cord*.

U dwudziestoletniego poety zadziwiają, żeby użyć słów Mariana Pankowskiego, „otwarte na prawdę oczy”. W utworach takich jak *Tragiczna choć wolna młodość*, *Elegia narodowa*, czy też *Wiersz* który karku nie ugnie słybać namiętny głos pierwszego pokolenia urodzonego w wolnym kraju: „O, moja wąłła ojczyzno, jakże ci ciężko oddychać małeńkim skrawkiem Bałtyku”. Nie naiwny to, ale krytyczny i przewidujący patriotyzm, który uczył odwagi cywilnej.

W języku macierzystym Jerzy Pietrkiewicz zostawił trwałą dorobek poetycki: nabiera on coraz większego znaczenia w perspektywie lat.

OD AUTORA

Tytuł wyjaśnia układ tego wyboru. Panieważ ukazuje się on poza Polską, poematy londyńskie stanowią pierwszą i główną część książki; wiersze z lat przedwojennych, oszczędnie dobrane ze względu na ograniczoną ilość stron, znajdują się na drugim miejscu. Włączyłem jednak wszystkie te utwory, które cieszyły się szczególną popularnością wśród moich rówieśników z pokolenia skazanego na zagładę. Po ćwierćwieczu nieobecności zobaczyłem ich groby na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Poetę obowiązuje lojalność wobec zmarłych.

Umieściłem daty pod tekstami tylko wtedy, kiedy mogłem je sprawdzić z pierwodrukami. Poprawiłem błędy drukarskie i wprowadziłem drobne zmiany w interpunkcji. Nie zmieniłem tytułu wiersza o dywizjonie 303: wyraz „eskadra” był jeszcze w powszechnym użyciu, kiedy pismo lotnicze ogłosiło ten utwór w październiku 1940 r.

Pragnę podziękować redaktorowi Kultury, Jerzemu Giedroyciowi, za życzliwą opiekę nad tym wydaniem.

J. P.

Część pierwsza

WIERSZE Z LAT 1940 — 1953

POEMAT

I

Dzień już zapuścił żaluzje cieni
na wielkie okna słoneczne —
i ptak, co błyszczał nad Regent's Parkiem,
zniknął w ostatnim oknie.

Noc — Wojna. Jednym czarnym ramieniem
objęte wszystko co wieczne.

II

Krążą duchy stalowe naokoło syren,
Syreny śpiewem srebrzystym,
łuskami złotych pocisków
wabią dwudziestoletnią śmierć w lotniczym mundurze.

Pod takim złoto-srebrnym wirem
myśli zaklejam jak listy.

Jestem sierotą wieczności, który zapomniał nazwiska,
i teraz słowa przemienia w róże,
różami prosi przelatujące
anioły:
Zdejmcie-że ze mnie opończę,
w nagie mnie wpiszcie koła.

Nad Regent's Parkiem ptak był czy anioł?
W którym go szukać oknie?
Tam nade mną piloci czoła sobie ranią
o gwiazdy —

i noc gdzieś w Anglii
na warcie, nad brzegiem snu —
moknie.

III

Masz siedmiu synów, Siostró —
jak w bajce.

Jeden umiera po drugim —
jak w balladzie.

Głód o oczach zapadniętych przeklina mnie ostro,
żem wam zostawił po wierszu jak po niezapominajce —
i jeno wrony łążą za pługiem
jak za pogrzebem — skiba się kładzie
na skibę —

wieś w kołysce jesieni
kolebie się. Zasunąć mi żaluzje cieni.
Słowa głupie, liryczne na skobel zawierać.

Siódmy syn w tej jesiennej kołysce umiera...

IV

Morza nas dzielą,
dzielą kordony
nienawiści.

Przed każdym łotra zastrzelą,
który kradł we łzach zatopione dzwony,
i bił w nie na swoją chwałę.

Łza matki siedmiu trupów łotra nie oczyści,
a dzwony pękną wreszcie wystrzałem
rewolucji.

V

O, trzeba cię za gardło chwycić zapłakana, polska jesieni,
przebacząca łotrom szerokim gestem chandry.
Przestań kołatać deszczu, skamlący o przebaczenie,
nie przypominaj gniewu, który się w młodych pieni.

Na barykadzie sumienia staniemy twarzą do kul
i przestrelimy na wylot zakrzepły polski ból!
Nie kuś fujarko, nie omamiaj dzwoneczku
u sanek, zasypanych bieluszką balladą.
Nie łąż wieszczu tchórzliwy zakwieconą steczką,
strojąc struny babiego lata.

Pokotem się — gdy trzeba — najlepsi pokładą,
i po takim zakrwawionym moście
przejdiesz Nowa, grobami bogata,
pod rozwianym jak chorągiew wrzaskiem.

Wy — liżący próg barykad — nie proście
o łaskę.

VI

Autobusy konające światłami
pod arkadami mgły jadą — i mrą.
Noc jest starcza, z bruzdami deszczu i wichury,
żebrze o światła i black-outem kłamię,
i rachitycznych kartów spycha w sen, na dno.

Dyktatorzy, bankierzy i mówcy
zdejmują kolorowe mundury,
nakręcają serca jak budziki
i gubią się w sennej wędrówce,
nim ich jak kur upiornym krzykiem
nie zbudzi gazeta i radio.

Pieją świty wojenne, trzepocząc nowiną,
komunikaty, depesze i plotki.
Dnie, przekreślone jak czekki, ktoś podejmuje i liczy,
i wargi więdną szesnastoletnim dziewczynom,
i ten sam uśmiech pieniądza mdło-słodki,
na ulicach monety świecą, nie księżyce.

Na złotej wadze polski ból —
i rozpacz niewystrzelonych kul —
i chłopska — w piersi pięścią wbita —
wiara.

A noc jest starcza o twarzy pomarszczonej wiatrem. — Jutro
[w zabitych deskami świtach.
Święci umierają bezimiennie. Banki zbierają ich kości. Banki
[wzniesione na moczarach.

VII

W Panteonie dziewiętnastego wieku
spróchniałe kłamstwo święci,
nafosforyzowane pieniądzem:
„Nieprawda, że rzeki podają dłonie rzekom.
Nieprawda, że morza karmią muszle bursztykami stuleci.
Nieprawda, że wulkany się dławiają, wylewając płonące żądze.
Nieprawda, że gwiazdy wierzą w Boga,
idąc procesją po Mlecznych Drogach”.

Weź relikwie świecącego próchna,
nafosforyzowane księgi,
a grobowce szalonych sekciarzy
przemień w gnuśność bluźnierczych ołtarzy —
i zamuruj kielnię trójkąt przysięgi.
Noc jest starcza, pomarszczona wiatrem. Daleko-daleko do rana,
Patrz! Jak wisielec na linie jęk dzwonu
nad fosforycznym próchnem Panteonu.

O mrok biją kopyta Szatana...

VIII

Już blisko dwa tysiące lat...
Cienie Golgoty idą w świat
nauczać.

Chleb razowy na białym obrusie
pachnie Niebem i Ziemią, Chrystusie.
Jordan jak ruczaj.

W małej Dolinie Jozafata
zmieści się święty obok kata.
A dwaj łotrowie

zejdą na ziemię po raz wtóry
ze świętej, odkupionej góry
jako posłowie...

IX

Może jeszcze zdążą nad Warszawą,
nad Paryżem, Moskwą i Londynem
wzejść czerwone sztandary
dziewczęcych, zakochanych warg.

Grób zmartwychwstanie murawą,
i motyl wypatrzy ścieżynę,
gdzie upał czyni odwary
z rumianku.

Może jeszcze zdąży Regent's Park
otworzyć okienko poranku —
wypuści ptaka lub anioła,
żeby zataczał wieczyste kręgi
nad czymś smutkiem.

Echa po wierszu się tłuką, rym echa woła.
Zwolnij mnie Boże z przysięgi,
odczep od życia jak łódkę —
(poezja — węzeł na linie)
odwiąż —

łódź sama
popłynie...

X

(E p i t a f i u m)

I nie wiem
czy to był Boży żart,
żem żył we śpiewie
przed wystawami sytych snów.

Bard śmieszny trąbił zmiany wart
kukłom paradnym i pomnikom,
wypruwał wciąż z parcianych słów
melodie głodne, barwy dzikie —
po co?

Że żywot marny toczył lęk
do bram niebieskich kluczy pęk
podrabiał nocą.

Naiwny, śmieszny minie bard —
niezmiennie wierząc w mgłę i świerszcze.

O Boże, jeśli mało wart,
człowieka zbaw przez wiersze.

Londyn, jesień 1941

KULA MAGICZNA

(Układ muzyczny)

Jestem otwarty na przestrzał,
przelatują przeze mnie gwiazdy,
szatani z aniołami na przemian
sercem jak skrzydłem szeleszczą.
Boli mnie odgłos każdy,
boli mnie ziemia —
i czas.

Oto znów przypływ chmur na horyzoncie.
Małe miasteczko o zorzę oparte
wszystkie smutki świata prowadzi
uliczkami, wąwozami obłoków —
na północ.

Chmura na chmurze jak gont na gonce.
Szyby zimny wiatrem morskim przetarte.
Tu mój dom, gdzie samotność nie zdradzi,
i gdzie cienie zadumanych kroków
nad nieruchomym stawem snu przystaną.

Patrz, w noc chwiejną zstępuję jak w czółno.
Spod powiek współprzymkniętych brzeg widać:

znów rano.



W akwariu jesteśmy na dnie,
bez skrzydeł i bez skrzel.

Serca jak bomby zegarowe
nastawione wskazówką czerwoną
na śmierć.

To nie historia wodzów ani królów,
lecz wodorosty pnące się po szkle
ku gwiazdom, które ciągle płyną na wierzchu,
i nigdy — jak my — nie toną.

Oprzyj o przezroczyste szkło zmęczoną głowę.
Akwarium jest kuliste. Gdzie stąpisz, próg bólu.
Nie idź — próg grząski — dalej bagno zmierzchu.
Poza szkłem wieczność kulista jak czas,
zatopiona aż po gwiazdy nowe
w nowym akwarium.

Z wodorostów umarłych jest las
i są duchy odbite na szkle.
Wskazówkę serca przestaw na wieczność.
Wodorost się pod gwiazdne wieko wiotko pnie.
Wybuchniesz i szkło prysnie. Czy znasz Drogę Mleczną?

Ja — nie.

I chociaż wiem, że czołgam się po dnie tragicznie,
obejmuję szkło zimne i do piersi tulę —
i pieczę i całuję kule — kule — kule.

Jedna kula to czas,
a druga to wieczność,
a trzecia, która także w elipsach wśród planet —
myśl moja — zaczarowana,
zapatrzona w stawy,
w smutek przejrzysty.

Płynę elipsą niedorzeczną.
To nie słońce lecz ja wstaję nad ranem,
i poprzez wiersze brnę jak poprzez trawy —
i obejmuję i tulę
swój los kulisty.

Wpisałeś mnie, Boże-Kulo,
pomiędzy kule —
abym się żadnej kuli nie uląkł.

Śmierci szklanna. Przez ciebie widzę ciszę białą.
Schyl się — lśniące masz wargi — ucałuj.

Szatani z aniołami na przemian
przelatują jak meteory...
W pętłach muzyki wisi ziemia.
Struny poranków i wieczorów
na księżycowych skrzypcach.

Do mej symfonii nie ma klucza,
bo byście nuty ukradli,
i udusili każdą w zimnych szczypcach,
i zamknęli do złotego pudła.

Księżki, muzea, pudła nie nauczą
tych, którzy z pętli muzycznej wypadli,
jak wody żywej napić się ze źródła,
jak grać na kulach szklanych,
na skrzypcach nocnych i porannych
symfonię, co ma włosy długie
i rozpuszczone...

Sięję nuty, idąc za pługiem.
Każda kiedyś wyrośnie dzwonem.

Patrz, dziecko zaczarowane,
w zaczarowaną kulę.

Pętle muzyki wirują jeszcze.
Na smyczku widać srebrzystą pianę —
to świat mi bije w oczy oceanem,
i muszle gadające zostawia na mule.

Śpiesz się dziecko, nim szkło się nie pobuździ deszczem —
sny ostatnie dudnią już na moście,
pięści tchórzliwe łomoczą w rano.

Widzisz — tam na dnie pośród wodorostów
grobowce w muszlach, w muszlach kości...

Złote podkowy spadają z mostu.
Śpiesz się — już wkrótce odjadą
sny.

Tam w kuli zamki, wodzowie i wojny,
królowie przeciągają dostojną paradą
pod gotyckimi sklepieniami wieków.
Bogowie się lepią sami z wody, zielska i mgły —
ołtarz każdy jak forteca zbrojny,
krople krwi z ofiar tysiącletnich cieką.
Groby na grobach warstwami:
cywilizacje czerepów.

Miłość groby tratuje bosymi stopami
i wichry historyczne skrzykuje wśród stepu.

Wichry jak żagle wydęte.
Wypływają z portów okręty
i naokoło żałobnej kuli
żeglują Kolumbowie.

Kto jakim skrzydłem utuli
maszt, który słabo zatknąłem na słowie?
Krwawi drzazgami drzewce.
Obłok na maszcie niech się owija
jak bandaż. Nurt zamąciłem w śpiewce.

Dziecko, nie patrz już w kulę.
Jak wodorost gnie się twa szyja
nad zatopionym w akwarium — bólem.



Niech latają samoloty i łątki,
niech się węże czołgają i tanki,
niech królowie zakładają korony
i niech przędą wór pokutny prządki.
Pomóż mi struny rozpiąć na poranku,
instrument nastroj na zmierzch.

Nuty zasiałem. Wyrosną dzwony
i będą łyzy ronić z wież.

Łzy otrą kiedyś sztandary
nowych wodzów i nowych plemion.

I im śmierć także wywróży zegary,
taczające się kuliście z ziemią.



Nie bądź Kolumbem
i nie żegluj
naokoło szklanego czasu.
Nie patrz w akwarium przez mikroskop,
nie szukaj Mlecznej Drogi w teleskopie.

Wygrzebałem w mule katakumby,
gdzie ukryłem wszystkie moje twarze.
Lecz serce jedno mam zamiast kompasu —
tę samą stale pokazuje troskę.

Muł jest lepki. Dłoń najśłabsza wykopie
katakumby — obronne cmentarze.

Tysiąc już miałem twarzy i będę mieć nowe.
Słowo jest ciągle ciałem. Gdzie się dotknę słowem,
tam życie mi spod grzechu jak paproć wyrasta
i pierwородna rozpacz patrzy znowu w kulę,
w zatopione kościoły, twierdze, zamki, miasta —
i w grobowce, gdzie spać się kładą na noc króle...



Gdybyś żeglował naokoło czasu —
z Zachodu na Wschód —
z Przeszłości w Przyszłość —
wróciłbyś zawsze w święty cień szałasu,
gdzie płacze w żłobie narodzony Cud
i poprzez dwa tysiące lat
pachnie — jak wczoraj — siano.

Kula — pęk szklany rozwinął się w kwiat,
paproć zamarzła na okrągłych ścianach.

Windą snu na dół — na górę.
Przetrzyj oczy — rozedrzyj chmurę.

Ściany kuli w czarodziejskich kwiatach.

Jedzie — jedzie uparta krucjata.
Ze skał wstają zakłęci rycerze.

Wciąż
 przecież
 wierzę.

Post scriptum

Za dnia odpoczywam po snach.

Wracam z balów, klęsk, wypraw krzyżowych.
Skaczę przez rzeki zapomnienia po kolorowych krach.
Potem, unosząc drewniane powieki,
przechodzę niebieską granicę
oczu.

Znów jestem z wami — jak wy — jednakowy,
i jak wy dla mnie — daleki.

Będę stał pod dzwoniącym czasem jak pod biczem,
aż się zegar północą zatoczy

i
winda o białym suficie
z pościeli

zsunie się na dół poza piętra życia.

Tam już czekają na mnie przyjaciele,
mędrsi o wcześniej przebyte sny.

St. Andrews, styczeń 1942

POKARM CIERPKI

Ubiczowali cię słowami,
zakatowali krzykiem pawim.
I dotąd nie zgaśł swąd pogorzeliśka,
choć w niejeden grób zarył się kamień.

Czy gwiazd pociski utoczą się z mgławic,
gdy niebo ślepym chmurom na wiatr błyska,
gdy człowiek z szcurem jedną gryzie sztabę
i jednak jest słaby i niewysłuchany...

O, byłaś ma Ojczyzno na tej wieży Babel,
co kikutami hasel jeszcze głupio sterczy,
sztańdarem najładniejszym ładnością furkotu.

I oto masz odpowiedź dumy: zgniłe rany
i uśmiech wiosny w strumykach błuźniczy
i białość zeszlórocznych, mocarstwowych płotów.

Marzysz: prorok mi wszędzie z płonącego krzaku,
a tu dają ci wydmy za fundament wiary,
nad którymi syreny mgły w pustkowiu huczą.

O, sielankowy, łabędzi Polaku,
czyż cię ciosy miazdzące nigdy nie nauczą,
żebyś nie rozdmuchiwał furkotu sztandarów.
Zrozum nareszcie, co to jest twój naród
i wgryź się krzykiem w skiby i mogiły.
Żadne wojenne kłuszące siły
nie mogą cię wysadzać z kawałami ziemi.

Nie pobudkę na trąbce, ale miedź w niej przemień
i w pięty pielgrzymowi, kalecząc, wbij strzemię.
Niech mu w popłochu jak kłątwa zadzwoni.

Rządź, okiełzawszy narowiste konie,
rządź — kulami mroźnymi nabijając siodło,
żeby zleżałe ciało wszystkie błyski bodły.
Niech kłuje i niech kąsa
dzień, zmierzch, noc, poranek,
niechaj w tanecznych nawet skrzeczy płasach
dysonans, który nuty maczał w zgniłych ranach.

O Polsko — o zgięta nad pustynią ciszo,
ubiczowali cię słowami
zakatowali krzykiem pawim.
I teraz, kiedy trupy wciąż krzyk pawi słyszą,
wstrząśnij jeśli nie życiem, to choćby grobami.
Niech się na nich akacje jak widma pojawią
i liśćmi mizernymi zaczną skomlić modły
za konających...

Wciąż jak ordery śmieszne brzęczą starcze godła
i ani jeden świeży nie pękł jeszcze strączek.

1940

ESKADRA 303

Rzucamy wam z ziemi spojrzienia
jak kwiaty, jak polskie modraki.
I niebo się w łakę wspaniałą przemienia.
I krzyczy stal dumna, stalowe lśnią ptaki.

Hej, patrzcie jak walczy, jak z kul sobie drwi
polska eskadra 303.

Za Poznań, za Modlin, za Gdynię,
za ciało zwęglone Warszawy
niech chmury się strzepią, niech krew z gwiazd popłynie
na kości męczeńskie, świecące od sławy.

Ojczyzny dosięga, wlatując pod sny,
polska eskadra 303.

Pytają maluczcy o racje i plany,
żądadają koncepcyj i wskazań,
a przecież tam w górze już pomnik odlany
dla Polski, co gniew ma na twarzy.

Tam w śmigłach gra płomień i wielkość z chmur grzmi —
polska eskadra 303.

Niech lecą posłowie przez Berlin do kraju
i znaczą pożarem swą drogę.
Niech bomby powstańców po lasach wzywają
i twierdze niech niszczą nad wrogiem.

Pędź w burzach wysoko, przez wiatry i mgły,
polska eskadra 303.

Zobaczą was z łąków, zobaczą z ugorów
odziani w łachmany rycerze.

Pomyślą, że ptaki wracają z borów,
zza mór, kędy wiosna ma leże.

I nagle krzyk wstanie, zapalą się łązy,
na niebie wybuchną w racach:

— Nasi! Eskadra 303

powraca! —

Październik, 1940

KOŚCIOŁOWI POLSKIEMU W LONDYNIE

Nie fotel i nie dywan i nie połysk hasła,
wytarte dna mizernych, staromodnych czółen,
gdzie latarnie, krążące nad dziobem, zagasły.
W Londyn weszłaś ojczyzno tu tylko, w kościółek,
w cień kamienny, co obcy świat po polsku zasłał.

Wypełnił nawę obłok, wysnuty z jałowca,
a jałowcowe twarze jak światełki przydrożne
z srebrnego trybularza, z srebrnego pokrowca
wydobyte przez rękę dziecinnie nabożną,
patrzą w serce żołnierza jak w pancerz krzyżowca.

Z zakreślonych na piersiach krzyży — zbrojne przeszła
rosną, podmurowane modlitwą wysoko.
To nie grobowiec jeno, gdzie spoczywa klęska,
ale twierdza jutrzejsza, przed którą twój pokłon
ściele się i haftuje dywan dla zwycięstwa.

Nie wydepcesz już Polski na schodach urzędu
i nie zamkniesz idei w uroczystej tece.
Te jałowce w kościółku lepiej sprawę przędą,
niż mądrość zapłacona, która ciągle wlecze
dymy pachnące głógiem (głóg bólu i błędu...).

Na tej małej uliczce w wojennym Londynie
wznosi się naród wieczny, uzbrojony krzyżem.
Dywan zetrą podeszwy. Sług korowód minie,
gdy ostatnie pochlebstwo ostatni grosz zliże.
Nie patrz w małość i odpuść narodowej winie,
jako nam Bóg odpuszcza w jałowcowym dymie.
Jest jeden Pan i świętość. Jedno Polski imię.

*
**

Co mniejsze — tym bardziej własne.

O, ziemio w obręczach stalowych.
Jak południki, jak równoleżniki
samoloty zakłuły cię w czasie.

Coraz bardziej, coraz bardziej ciasne
wszystkie przesmyki.
Spójrz na wyspy — to tonące głowy
lądów, co na dnie oceanów kładą
kredowe stopy.

I jeno fala kośćmi o brzeg rzuca,
jeno wiatr grabarz suchotnicze płuca
wypluwa z krwią.

Co mniejsze — tym bardziej własne.

Na Mont Everest jak na kapitańskim mostku
ostatni człowiek wpisany w krąg słońca
stanie i światłem zachodu skrzydlaty
śmierci zda raport.

Ziemio — Golgoto, płynąca żółcią i octem,
w pięść Kainową skurczysz się w Dzień Końca,
i nie przestaniesz wyrażać zaświatom
zacięta w grzechu.

Przesmyki się dławiają — wyspy toną,
wiatry o trupim oddechu
nad Jozafata Doliną
krążą jak kruki.

Za późno serca wprawiać w piersi dzwonom?
Za późno miecze bierzmować krzyżami?

O, święty Tomasz z Akwinu,
módl się za nami...

Pisane w Wielki Piątek 1942 r.

LITANIA DO BOGA — OJCA

Wiem: was życie kaleczy; mnie po-
ezja rani.

(*Myśli nagłe*)

Gdy co dzień za nami cień się czołga i echo z za węgła śledzi,
kiedy wiatr nas przedrzeźnia w liściach, a spod słonecznej śniedzi
dnie wygrzebują się rude i pełzną gdzieś redlinami —
nie wiemy czy echem przeczyć, czy wiatr kpiący otrząsać z ra-
[mion,
nie wiemy czy dnie przerośnięte pielic i zbierać pod jesień...
Ten sam pokarm krzepi i truje, pieśń ta sama więzi lub niesie.
Na falach rozpaczy i śmiechu, od skały do skały rzucani —
ręce wznosimy jak maszty — skargi niech będą mewami.

Kyrie Eleison —
usłysz nas!
Kyrie Eleison —
poznaj nas!

To nieprawda, że Odyss przybił do zielonych urwisk legendy,
to nieprawda, że Troja zarosła murawą i pieśnią jak cmentarz.
Z dymów trojańskich chorągiew żałobna ponad Europą —
więc trwożnemu tłumowi, drogę wskazuje do Styksu.
Odyss ma synów korsarzy, którzy znak ojca — przybłądy
wryli na dziobach statków i z sieci skręcają pęta
na nimfy, rusałki i elfy —
Perceval szedł leśnym tropem
i zgubił światło. Arturze, wysycha święty eliksir.
Królu Arturze, nie konaj. Odyssie, żagli nie zwijaj.

Na wszystkich zegarach stuleci dwunasta godzina wybija.
Krew ciecze z dymów trojańskich. Z chmur lecą zamiast pio-
[runów
włócznie św. Maurycego, lilie św. Antoniego,
miecze św. Jerzego.

Cywilizacje pobojuwisk, dzieje zbutwiałych całunów
zalewa potop — wszystkie początki i wszystkie końce — prze-
[szłość zalewa nam mózgi.
Wpada ujściami szerokimi w zatoki naszych domów. Prze dalej,
[dalej do brzegu —
aż pod stateczne przystanie: pod gminy, parafie, narody.

Wiatr już przedrzeźnia sam siebie, biczuje się ostrą różgą
i tonie w liściach bulgocząc — odęty spada na dno —
zielone, zielone jest dno.

Kyrie Eleison —
zrozum nas!
Kyrie Eleison —
przejrzyj nas!

Na katedrach wisiały trofea łbów diabelskich, oświetlane w nie-
[dziele dzwonami,
a myśmy nie tańczyli na placu przed świątynią, bo strach nam
[drgał pod stopami.

Smagaj nas tedy Panie deszczem i gradem,
karczuj nas wojną i głodem.

Pozwól nam nosić na czołach cierniowy diadem
i na krzyżu umierać za deszcz i pogodę,
za zwierzęta i drzewa.
Niech nas na stosie stojących ogień psalmami ośpiewa.

Ojczy —
iż nam rozhuśtałaś wiosnę w motylach czerwonych, a zimę w
[motylach białych,
iż od łątek przelotów imperia się wszystkie zachwiały,
a nie od kul —
zmiłuj się nad naszą pychą, zagwóźdz nam oczy ślepotą,
bruzdy dla łez niech wyłobią na twarzach ciepłiwe sloty,
aby odtajać mógł ból.

O gest litości dla królów, dla wodzów, błaznów, wróżbitów —
prosimy Cię Panie!
O anarchię nocy w galopie snów i o hierarchię świtu —
prosimy Cię Panie!
O słabość w godzinę zemsty, o siłę w godzinę żalu —
błagamy Cię Sprawco Kontrastów!
O wiarę w baśnie i klechdy, o napój świętego Graala,
o Boże Miasto.

Zalew opadnie — gdy kanałami szum spłynie — gdy wiatrak
[zmięle obłoki.

Wtedy Don Kichot na wzgórzu koniowi nasypie obroku
prosto z księżycy.
A Sancho Pansa uwierzy i bitwę rozpocznie sam jeden
o honor głupców i chamów — wiatrak wyostrzył skrzydła —
czeka.

Ojcie, zaknij nas w rubasznych pielgrzymów, krzyżami tatuuj
[oblicza.

Alegorie nas oplatają i jak bluszcze pną się po ciałach.
Już oczy zakryte, już dłonie związane — rzeczywistość za blusz-
[czem zbrzydła.

Tylko ta chwała pnących się łodyg, tylko ta chwała.

Ojcie alegorii i romansów,
Ojcie wiecznego Średniowiecza,
nie śmieję się z nas Sancho Pansów —
lecz uderz płazem donkiszotowego miecza,
i giernków przemień w rycerzy.

Zaprawdę powiadam wam, że ziemia wiruje naokoło snu,
że pory roku lęgną się z cudu — nie przyjdą, nim nie uwierzysz.
Módl się o zgrzebne braterstwo z łanami konopi i lnu,
o przymierze z sosną i brzozą.

Błogosław zegary — katarakty czasu, błogosław przyplwy pow-
[tórzeń:

nowe początki i nowe końce, stare początki i stare końce;
wiatr z rozczochraną czupryną, smyczki grające w łożach,
bociany wijące gniazda na każdej wiosennej chmurze —
i słońce — i słońce.
Kołycki wyrębuj w puszczech, drwału:
wiosna powraca.

Trumny posrebrzaj dzwonami, złoć gliną — i nie płacz wcale:
śmierć tylko skiby przewraca,
śmierć tylko łuszczy strąki.

Wirują konstelacje powtórzeń,
wirują miedze i łąki,
domy i krzyże, —
księżycy i słońca, —
szybciej i wyżej,
szerzej i bliżej —
bez końca . . .

Lulaj-że lilijs wśród listowia pod lasem,
Lulaj-że wodna panno w wiankach zwiędłych przed czasem —
Lulaj-że umówiona muzyko w moczarach,
Lulaj-że słowo senne na czerwcowych czarach —

Boże —

myśmy do Ciebie przyszli z puszczy pogańskiej, z bluźnierczych
[gór —

przebac, uśmiechnij się do nas przez rzęsy chmur.
Myśmy uciekali od zniczów, bo straszyl sowami bór —
zapomnij, uśmiechnij się do nas przez rzęsy chmur.
Płaczem obmywamy stopy i ręce, płaczem zwilżamy zeschnięty, bi-
[blijny mur —

Ojcie nasz, któryś jest w niebie —
i w kręgach wody naokoło lilii —
i w spieklej, konającej glebie —
i w śnieżnej, rozdzwonionej wilii —
w mieczu Rolanda i wiośle Odyssa,
w wędrowce Percevala,
we wszystkich ludzkich i zwierzęcych rysach —
w zbliżeniach i w oddaleniach,
w końcach i początkach,
w imperiach, motylach i łątkach,
w paradoksach i kontrastach,
w męczyznach i niewiastach —

Kyrie Eleison,
Chryste Eleison —

Ave Maria —

Na wszystkich zegarach stuleci dwunasta godzina wybija.
We wszystkich balladach heroldzi trąbią ostatnią bitwę.
Odyssie, na wiosle złamanym wiesziesz uśpioną rybitwę.
Don Kichocie, koniowi nie trzeba więcej srebrnego obroku —
Król Artur umarł naprawdę. Podnieś przyłbicę.

Jest pokój.

Londyn, w lipcu 1942 r.

WARSAW CONCERTO

Znowu
na klawiaturze rozpaczy
płomienie wybuchły ze strun.
Sierpień potrząsa grzywą płową
nad miastem gdzie chmury tułacze
ze wszystkich strun.

Ten sam znów dotyk — ten sam ton —
każdy klawisz pęka jak granat,
motywem szkarłatnym zszyty
sztandar niebo zakrwawił jak rana.

Na placach, w zaułkach pośpiech. Pędzi melodia w huku,
karabin za karabinem przestrzeń woła zza rogów, z bruku —
i tankom w pyski zziąjane zagłada zuchwały śmiech.

Nie przejdiesz — powiada Wola. Nie ujdiesz — syczy Wa-
[recka.

Na Placu Napoleona drzewa wstrzymały dech,
gdy domy sprężone do skoku ogień wysmagał i dym.

Uplół się motyw biały z obłoków, gorąca i kurzu
na krwi motywie pierwszym. Po salwie czerwień powróci —
i oczy kobiet ogromne jak zachwyt spojrzą ku górze,
i dziecko zapyta niebo: Co nam dasz? Skąd przyślesz posły?

Po Starym Mieście wiślany wiatr przebiegł, mury ocucił,
aż cienie z żołnierskich ramion jak chłodne skrzydła wyrosły,
i drogę usłały biegnącym, pomosty rzuciły na słońce.
Dziecko spytało znów niebo: Czy wyślesz skrzydlate gońce,

i krzykniesz, świecąc nad Anglią, i Londyn potrząśniesz echem,
czy stopisz na blask Atlantyka, Nowy York spalisz oddechem?
O, słońce, zwołaj Europę, o słońce, zbudź Amerykę —
i powróć do nas nie słowem, lecz bombą, czołgiem, lotnikiem!



Myślisz, oślepy black-outem, słuch powierzywszy alertom,
że to tylko Bracka, Bielańska, jakieś place, jakieś ulice.
Nastawisz patefon, zagrasz po raz setny Warsaw Concerto
snom na pociechę i niebu, co Londyn studzi księżycem.
Zbudzi się radio zwycięskie, załopocze nadzieją gazeta —
i tłum sportowy konie radośnie przywita przy metach.

To tylko Bracka, Bielańska, Stare Miasto, Plac Teatralny —
jakieś miasto z filmu, z muzyki, świat obcych nazw — nierealny.

Warsaw Concerto na płycie —
patefon, fabryka, bank — życie.

Czy sojusz znaczy przemilczeć, a przyjaźń — jedynie patrzeć?
Czy się umiera tragicznie dla widzów tylko w teatrze,
czy rozpacz samotna — z trupem, zatkniętym na barykadzie,
to jeno polski przywilej na samobójczej paradzie?

Znowu
spod klawiszy wybuchł polonez.
Sztandar zakrwawił niebo
na Termopilach Europy.

Krztusi się radio, w depezach brak tchu niecierpliwym słowom.
Dym wplata motywy czarne, kurz białe, a krew czerwone
w koncert ulic i placów. Jak werble żołnierskie stopy
na Świętokrzyskiej, Królewskiej, na Długiej i Żoliborzu.
Wytrwamy — wołają kule. Nasz upór rozpacz przemoże.

Tego koncertu nie nagrzasz
na żadną płytę,
płyta od gniewu pęknie,
melodii odpowie zgrzytem.

W Warszawie dzień wstaje łuną, dym zachodzi każdego wieczora —
i patrzą wciąż w niemą przestrzeń oczy generała Bora.

13 sierpień 1944

BALLADY DOBRZYŃSKIE

O CZAROWNICY Z MAŁEJ CHELMICY

W Małej Chelmicy za stawem
na wzgórzu
szybki słońcem ukwiecone lecz łzawe,
dym warkocze wplata sennej chmurze,
lecz chmura smutna.

Za szybkami dzień przykucnął w izdebce,
we drzwiach skobel — zardzewiały skrzyp.
Niżej — ścieżka — chatę kusi w pole.
Wyżej — pośród topól na stodole
wiatr obłoki wybiela jak płótno.

Młyn gdzieś z boku w wodzie ciągle drepce,
opryskując kołem zapach lip,
ale wdowa po grabarzu myśli:
To nie dla mnie ten zapach i plusk.

Szepcze trwożnie Mała Chelmica:
Tam za stawem mieszka czarownica,
więc dlatego ten cień i ten skobel,
zamiast krzewów kilka suchych różg,
zamiast kwiatów — pożółkłe badyle.

Czarownica ciężkiem nosi żałobę,
choć grabarz umarł z sześć lat temu.
Spójrzy na wieś — a już droga w pyle,

spojrzy w niebo — pada całą dobę,
każdy snopek przede zwózką przemókl.

Odganiajcie stąd krowy daleko,
bo jak spojrzy — to uroczy mleko.
Dzieci, nigdy nie zbierajcie szczawiu
z tamtej strony chełmickiego stawu,
bo on gorycz ma stężałą jak ły.

Czarownica z Małej Chełmicy
tak samotna, tak smutna jak dal.
Przez nią pono zmory duszą sny,
przez nią pono wieje w sadach żal.

Omijają uśmiechy dziecięce
małą chatkę z zardzewiałym skoblem,
z badyłami zeschniętymi w ogródku.

Żyje w pustce wdowa po grabarzu
poza stawem, za wsią, przy cmentarzu.
Co noc czeka wyciągając ręce
do drzew, dymu, do sinego smutku,
czeka, wierzby na cmentarzu liczy,
wrona nad nią krąży nisko i kracze.

Czarownica z Małej Chełmicy
płacze.

O PSIE CO WYŁ NA KSIĘŻYC

Zaniemówiły drzewa,
zakotwiczone cieniami
w jeziorze
chaty jak ptaki stuliły strzechy.

Księżyc — księżyc na turni nocy.
Wniebowstąpienie ciszy.

O tęsknoto wyciągniętych gałęzi.
O rozpaczy psów na uwięzi.
O srebrny Boże,
kielich milczący przechył
i napój psa, który srebro liżąc trwożnie dyszy,
łbem podniesionym tropy chmur nabrzmiałych węszy —

i śmierć.

Przetłumacz monolog wycia na mowę natchnionej świętości,
konającemu psalmem psim ulżyj.

Opada księżyc niżej — niżej — coraz cięższy,
omiótł drogę i belki sheblował na moście,
psu szerść wygładził.

W Kulinie upiór zaskrzypiał na szkielecie sterczących grabi,
gdy pies, wyjąć, echa żałobne od wsi przelękłej oddalał,
i biegł rżyskiem na przełaj, aż śmierć wyciem z grabi wy-
[wabił
nad brzeg strugi, pod chatę kowala.

O ŚWIĘTYM JÓZEFIE KTÓREMU BRODA OSIWIAŁA

W dobrzejewickim kościele
święty Józef śmiał się w każdą niedzielę,

czasem w piątek, ale rzadziej w środę,
bo mu w środę ścierką zmywał brodę

dziad kościelny Wasiak. A jak zmywał,
to tak sobie z tej brody podkpiwał:

O ty brodo czarna z końskiej szczeci,
po co myć cię? Nie urośniesz przecie.

O ty brodo czarna niczem smoła,
nie trza takiej do naszego kościoła!

Święty Józef miał słońce na wargach.
Słońce zaszło. Cień na nich jak skarga.

Woń lipcowa oplotła filary.
Na posadzce szmer stąpa: zegary.

Uskrzydliła noc święte figury.
Wiatr wszedł. Staął. I zagrał pod chórem.

Święty Józef ły ma w oczach i marzy,
aż mu farba z żalu pęka na twarzy.

Przed odpustem, jakoś na jesieni,
święty Józef nagle się odmienił.

Posiwiła mu o świcie broda.
Choć z szczeciny — czarnej brody szkoda.

Walą ludzie z całej okolicy,
z Lipna, Sierpca, a nawet z Brodnicy.

Módl się za nas, osiwiwały patronie!
Kościół w kwiatach, pieśniach i łzach tonie.

Módl się za nas, siwy Oblubieńcze.
Cały powiat gruchnął na ziem i kłęczy.

Przyjechało czterech księży z Pelplina,
żeby zbadać jaka cudu przyczyna.

Oglądali, szeptali, pytali,
w wielkiej księdze po łacinie pisali,

aż wydało się pod wieczór w środę,
że to Wasiak pomalował brodę.

Niech ksiądz proboszcz na próżno nie biada.
Cud przeminął — została ballada.

Ona słońce rozpryska z witraży,
żeby święty miał uśmiech na twarzy,

żeby śmiał się — jak dawniej — w niedzielę,
w dobrzejewickim kościele.

O DIABLE Z RACHCINA CO SNOPKI KRADEŁ

Złoto chrzęści w snopach. Dyszy rżysko,
zanim zachód nie zaciągnie cieni.
Jeden wóz, drugi za nim w słoneczną stodołę
wjeżdża sumiasty wonią, szelestem i błyskiem.

O wyjrzyj chłodzie z rowów, ze studni i sieni
i noc zakresł księżycowym kołem.

Zwiozły wozy dzień parny. Duszą się sąsieki
we wsi Rachcin. Na niebie ogniste wypieki.
Blask z sykiem gaśnie w stawie —
dookoła
pola na łałdach zmierzchu stygami garbate.
Dziw: Rachcin, niecąc gwiazdy, staje się wszechświatem.

Wszechświat: niebo i piekło. Na rżysku kolczastym.
diabeł snopki wykrada, kopytami młóci,
wiatr za nim skrzydła złożył i schylony zastygł.

Diable, diable rogaty,
pacierzami zawarły się chaty:
ojczenasze jak ciężkie zasuwę,
zdrowaśmaryje jak skoble.

Rachcin na kłęczkach. Nad nim księżyc rośnie oble,
każdy snopek wygładza, ucisza,
żeby Pan Bóg diablích ruchów nie słyszał.

Diable, diable ogoniasty,
o północy poczną nagle niewiasty
i urodzą dwugłowe potwory.

Po coś przywłókł się aż do Rachcina,
po co depczesz kopytami zbiory,
po co w miedze rogami się wrzynasz?

Srebro chrzęści w snopach. Dyszy rżysko,
zanim nowy wschód nie zwinie cieni.
Niebo błyszczący jak wielkie klepisko
i pędzących komet słyhać rżenie.

Powiadają: Brzozik snopki kradnie.
Brzozikowi przecie ukraść śladniej.

Patrz, to Rachcin nie wszechświat. Obłoki
odczyniają w brzasku nocne uroki.
Patrz: jak polom widniej, cieplej, szerzej.

W diabła wierzysz? Odpowiedz: nie wierzę!

O GŁUPIM STACHU — SIEROCIE

Szopa ma ściany ciepłe,
wyłożone oddechem krowim.
Pachnie mleko
dzieciństwem, kolebką.

Pogładź, nocy kosmata,
Stacha głupiego po głowie.
Spadnij śnie ciężką powieką,
wspomnieniom przyszłość wyswataj.

Przyjdzie matka niepamiętana,
rozjaśni głupi mózg,
otworzy się przeszłość jak rana
od chłosty najtkliwszych różg.

A potem znowu dzień wśród tętentu chmur,
przelatujących nisko.
Każda twarz ludzka jak nieprzebyty mur,
świat bez nazwiska.

Cwałtuje z tyłu stado dzikie
i wrzeszczy: głupi!
O matko, przybliź sen. Zapal mózg tkliwym ognikiem.
Niech pęknie! Niech owoc zdrowy wypadnie z włochatych łupin!

Stach dźwiga kosmos na barkach jak wór bez dna.
Gwiazda — mówicie — spada. Głupi wie lepiej: to ła.

Mówicie: szopa, duszna nawozem,
zatechły żłób.
Głupi wie lepiej: żłób gniazdem Bożym.
W kolebce grób.

O KRZYŻAKU CO DZIECI POMORSKIE TOPIŁ

Jeśli będziesz w Dobrzyniu nad Drwęcą,
pośród olszyn stań koło północy,
a zobaczysz ile drzew się męczy,
ile w nurcie zatopionych oczu.

Załamują olszyny gałęzie i od wiatru aż się zanoszą,
nad wiekiem rzeki otwartej stoją jak gdyby nad trumną,
latarnie wozów jadących ciemność sowią pod mostem płoszą
i noc rozwlękają po polach, gdzie pościg ech bezrozumny.

Zamek golubski jak upiór w śmiertelnej księżycy koszuli
zwołuje wiec nietoperzy, puchaczom zapala oczy.
Od olszyn skarga za skargą. Matulu — ktoś szepcze — matulu!
i gałąź każda szelestem liściastym boleśnie broczy.

Jeśli będziesz w Dobrzyniu nad Drwęcą,
spójrz na zamek od strony rzeki,
a zrozumiesz czemu drzewa się męczą,
czemu nurt ma rozwarte powieki.

Kiedy północ ze strzelnic zmurszałych skrzydłami sów załopocze,
a księżyc ramiona murów i szyje wieżyc obnaży,
Krzyżak olbrzymi zejdzie, płaszczem powłóczęc po zboczu,
olszyny szumem wybuchną i skoczą Niemcowi do twarzy.

Z oczu odbitych na falach widma wyrosną dziecięce,
jak lilie chude się złamią w cieniach o brzeg zaczepionych,
będą wyciągać ku światłu wątłe olchowe ręce
i wołać: matulu, matulu — głosem od łkań postrzępionym.

Krzyżak-morderca na próżno oczy swe płaszczem zakrywa,
na próżno mieczem rozcina obręcz z rąk, lilij, gałęzi.
Rzeka jak rumak się wspięła, mokrą potrząsa grzywą,
ucieczce zagradza drogę, czas pęta i trzyma w uwięzi.

Nie ujdiesz widmom, upiorze — daleko jeszcze do świtu.
Na nic płaszcz biały i pancerz, na nic ci kita z piór strusich.
Drwęca dno szczyrzy szydyczko i żwirem gniewny nurt zgrzyta.
Po coś je topił, niewinne; po coś, Krzyżaku, je dusił?

Co nocy od sześciu stuleci
kwilą pod zamkiem olszyny,
widma pomorskich dzieci
mściwe rachują godziny.

Jeśli będziesz w Dobrzyniu nad Drwęcą,
stań nad nurtem szumiącej ballady.
Słyszysz: drzewa w księżycu się męczą.
Widzisz: w piasku stóp dziecięcych ślady.

POKUSY MISTYCZNE

I

Słowa są bez poręczy.
Czy wychylić się za nie — nad mrok,
gdzie osie planet ciężko skrzypią
i wieczność się wśród czasu męczy.

To tylko jeden przecież krok —
nad brzegiem mowy stanąć w wierszu.
Rytm się obsuwa w dół.
Rym ma otwarte jeszcze usta —
lecz niemy.

II

Tam jest moło poetyckie w głąb trwogi.
Tutaj przystań dla wizyj wśród mgły.

Wiatr mi włosy czesze grzebieniem coraz twardszym i szerszym.
To wirującej ziemi wiew. Na skraju kosmicznego wiatru
stoję.

Zsuwa się z czoła niebo jak ogromna chusta.
Rozwiązały się supły obłoków — upadły pod nogi.
Już tylko ciemność zawieszona, gdzie czas ledwo że się tli
w niedopalonych resztkach meteorów.

III

Myśl bez słów mniej boli.
Myśl bez uczuć mniej więzi.

Czy wychylić się poza poemat — poza kruche wiązania wie-
[czoru —
w myśli co rzędą jak powietrze —
kilka tysięcy kilometrów ponad poziomem słów —
w bezosobowe cierpienie. Czy przejść więc z jednej niewoli
w nową —
z jednego czasu
w drugi?

Ciemność — ciemność mistyczna rzezi
na strunach przeciągniętych przez istnienie,
rozpiętych od słońca do słońca —
gdzie głuchnie i niemieje słowo,
gdzie każda farba ślepnie.
Tylko nagie, olbrzymie stalugi
dla bezkształtnych, nienazwanych wizyj.

Noc za nocą — żadna z niech nie krzepnie.
Czas za czasem — żaden z nich nie kona.

W dole ten sam Bóg przybity do setek tysięcy krzyży.
W dole Barabasze na tronach.

IV

Już 26 razy obiegłem słońce dookoła
ludzka ćma urzeczona przez światło.
Wiatry mi oplatają czoło.
na skraju poematu stoję.

Bo słowo jest bez poręczy,
a myśl bez słów mniej męczy —
życia więcej niż śmierci się boję.

V

26 razy skrzydlate roztaczałem nad globem cienie
i zżajany biegłem za czasem trop w trop.

Mówicie, że to była młodość,
cwałujące ponad głową sny.

A mnie odbłaski gwiazd biły po twarzy,
gdym do mety każdego roku dobiegał, wargi pieniąc krzykiem,
a zachodzące co dzień słońce jak złoty waliło się snop,
księżyc potem pod stopy zamarzłe rzucił kłody,
aż świt je musiał łamać i srebrne zostawiał kry
dla niespokojnych marzeń.

VI

Mistyczny piszę życiorys
każdym wschodem i zachodem słońca,
każdym soptem księżycowych mrozów.

Słowa przede mną leżą, zarośnięte tęsknotą jak dzikie, przestronne
[ugory,
korzeniami wczepiły się w ziemię,
setkami żyłastych powrozów.

Ja ponad nimi
w szumie wirującego globu,
na skraju wiatru, co chmurami dymi —
biegnę wokoło światła — 26 już raz —
w poszukiwaniu grobu.

Zima, 1943

ROZMOWY ZE ŚMIERCIĄ

*Z myśli nagłych:
Gdzie filozofia nie wie, a religia milczy —
tam poezja domyśla się.*

1

Szczęśliwy komu Pan Bóg zdmuchnął światło w oczach,
zapięczętował wargi ciszą siną
i przykrył ciało snem.

Po lodowatych niebios zboczach
pną się melodie — w echach giną —
a wieczność zgrzyta czasu dnem.

Długa jest droga poza życie —
z pamięci — w ślepe zapomnienie,
ze smutku — w głuchy, tępy sen.

Szczęśliwy który przestał liczyć serca biciem
przelatujące przez wzrok skry i cienie
i oddał ciało od wieczności —
jak pompatyczny tren.

2

Pamiętam po raz pierwszy jej uśmiech
na kwiatach mrozu,
gdy ból drzew leżał odbity na śniegu

jak na chuście,
a w krtani widnokręgu rzeził turkot wozów.

Tonący we śnie czułem noc bez dna, bez brzegów,
na której godziny pływały jak tratwy
w plusku kroplistym zegara.

Podobno śmierć — to mara.

Ale nie ta z mroźnych deseni na szybach,
z uśmiechem powlęczonym na ustach —
gdy dziecko, osaczone meblami,
wydane zegarom na łup,
żyje zamknięte snem na cztery spusty,
i widzi znak spoza pamięci — zimą — w okiennej ramie.

Na dwu biegunach kołyska. Pościel rozkopana jak grób.
O, pięści słabe, słowa nieme, o krzyku w oczach bez ech!
Uśmiechniętej na kwiatach mrozu nie zrywaj śmierci. Grzech.

3

Gdzieś na mnie czekasz —
nie wiem gdzie.

Potykam się o troski, kaleczę wzrok o gniew,
uwikłany w przeczuciach płynę — mętna rzeka,
aż kiedyś runę w ujście, rozbiję się na dnie.

Nachyla się nade mną jak rzewna wierzba — śpiew.
W śpiewie holuję niebo całe,
chmury czarne i białe,
a nocą konwój gwiazd.

Rozwikłasz kiedyś, ściszysz, ulżysz,
wizje się w mrok obsuną,
zestrzeli serce nagły błysk —

lecz przed tym las mnie będzie długo karmił ciszą
i długo będzie niebo marsza grało łuną,
nieraz jeszcze ukraje dzień mi słońca pajdę,
bym światło suche gryzł.

O, zali w czas cię, Miła, znajdę!

52

4

Leżymy — instrumenty — z których strun spłynęły
melodie. Łapie oddech rozedrgany dosyt.
Pod jednym twym spojrzeniem struny się napięły,
a kiedy pękły w zachwyt — dźwięk zgasiły włosy.

I oto w obnażonym zamyśleniu barw,
gdzie światło okrągłeje — i pachnie
powrotem zapodźnianego pośród zasłon dnia —
widzę łodygi ramion i nóg jak w rytm rosną,
jak listowiem cieni okryte
proszą wargi, łakome dźwięku, o sygnał, o takt,
o świeżą melodię włosów.

I nagle w krzyku lampy
odbitym na ścianie,
w niezasklepionej dźwięku ranie
sylweta się pochyła ze mnie nad twój przestrach —
i w patetycznym geście
dźwigają się snów widma męskie i niewieście,
kontrapunktem płci dwojga wygraża orkiestra
ciszy wykołysanej z biodr, ramion i piersi.
Tańcz na nowo — melodio!

Na ścianie w pochylonej sylwecie
gnieździ się śmierć, jak życie gnieździ się w kobiecie.

Lecz sen jest zdrajcą śmierci, ciemność — stręczycielką,
pod latarniami łązi noc — sprzedajna dziewczka.

O, zejść już pora w rozkosz jakby w trumnę wielką,
przywalić się grudami chmur. I niech nam księżyc jak śpiewka
dolatuje zza węgła wiatru, niechaj smuci —

nim wieczność się z powrotem w życie czyjeś skróci,
w mistyczny żart.

5

Obydwie mnie kochacie —
która silniejsza z was?

53

Jestem samotny jak pacierz,
dziwny jak las.

Na smukłych łodziach nocy
płyniemy. Śliski szelest wioseł
uskrzydła bieg.

Mózg rozłupany snami broczy
i skrapla trwozę — pot jak rosa,
bieli się świtu brzeg.

To tylko pościg snów. Rydwany
wyrzeźbił śpiew.

Jestem od wizji pstrych pijany
i szumię — prorok drzew.

Dlaczego obie mnie kochacie,
co tak urzekło was?

Może to, żem samotny jak pacierz,
dziwny jak las?

6

Księżyc — trup zimny — wysoko
na katafalku nocy,
dokoła
gwiazdy jak długie gromnice.

Zasunął Pan Bóg ciężkie oko
i przez sen wodę młyńską toczy —
czasu skrzypiące koła.

Kto zapłaci nad martwym księżycem?
I kto w las wejdzie — w kościół szumów?
Las wypowieda
w konfesjonale śmierci
wśród bezdomnego liści tłumy,
rozgrzeszy pychę, gniew i nudę.

Słyszysz: w sumieniu strach się skrada.
Odwała pamięć — ciężką grudę
z kołyski, poza którą
anielskie dzieje...

54

Pogładzić zmierzchu gładką skórę
i w Przeddzieciństwo wniknąć jak w knieję...

7

Telefon zadzwonił.
4548.

Dźwięk pryskał na ściany, na meble.
Z sufitu zwisające nietoperze nocy
jednym skokiem krzyk lampy wypłoszył.

Dźwięczały u zdrętwiałych rąk sny jak kajdany.
Kołdra ciężka — marmurowy sarkofag.

O, zmartwychpowstać!

Te —
le —
fon —

45 —
48 —
kto — ?

Była pustynia biała w głosie.
Od ciszy mdło.

Zrozumiałem.

4548 — numer więzienny,
pidżama w więzienne pasy.

Słowem się stać — a nie ciałem
i zapaść w głos bezdenny,
na jedwab dźwięku, na atłas.

Ty?
4548.
Próżnia. Nacisk na skronie.

Po ciszy ją poznajesz — nie po głosie.
Wiem: to była śmierć w telefonie.

55

Oszklone wiatrem okno.
Słońce jak malwa.
Trwam przechylony ponad smutek.

Pluszcze, bulgocze w dole
miasto w mistycznym kole,
parki w mgle mokną.

Odblask nagły na szybie jak salwa,
hukiem okute
ulice —
 zaułki —
 place.

Patrzysz z każdej strony inaczej,
wyciągasz ramiona przestrzeni,
kolebiasz się biodrami cieni
i kusisz w dół
pod werble rozpędzonych kół,
na bruk
w dziki parów rozchylonych nóg —

lub

nocą —

gdy z mostu łowią gwiazdy w rzece,
widzę nie pławik, nie sznur i nie wędkę,
lecz oczy twoje
jak przez fal rzęsy migocą —

rzucić się w nie? Przez dno przeleczę,
przez noc i świt,
aż się zaciągną myśli zwoje,
pętla na pętłę spadnie —

dna nie ma na dnies.

Albo

na pograniczu jesieni
w deszczem obmierzły las

wejdę — przemytnik tęsknot —
i gałąź każda
da mi poufne drzenie.
W szumie po pas
stanę
pod stryczkiem księżycowego światła,
tak jak w okiennej ramie rano,
tak jak na moście pod wieczór .

Gdziekolwiek jestem —
jesteś ty
rozwartą, gotową, czujną.
Tęsknoty tęsknotom przeczą,
dłoń dłoni zaprzecza gestem.

Śmierć, sen i życie — wieczna trójca
potrójnie z wieczności drwi
i dno pod każdym dnem otwiera.

Kto Ciebie kocha — samobójca.
Kogo Ty kochasz — wciąż umiera.

Jesień już żółkła, las jest chory,
odloty liści poza morza
barw.

Drzewa ze śniegu wiją gniazda.
Świergoty mrozu na konarach.
Na płotach skrzypi świt, i zorza
pieje czerwienią.

Wiatr już postrząsał senne gwiazdy,
cień spoczął w rowie na marach.
Słońce — słońce — górą — powoli
jak wielki pieniądz
brzęczy.

Grabarz uroków, zjaw, pejzaży
rozkopuję świat dziki. Ile z barw cmentarzy...
ile się dźwięków męczy...

Deszcz: światło whaftowane w chmurę.
Piętra — piętrami w górę.

Na pierwszym powiało przy drzwiach,
gdy przeszła.

Na drugim winda jęła nagle,
cień padł na wznak.

Na trzecim rękę uścisnęła
panu w smokingu.

Na czwartym kwiat we włosy wpięła —
opadły płatki tynku.

Na piątym pogłaskała klamkę
dłonią zimnymi.

Na szóstym zsunęła firankę —
(zegary śmiały się straszne)

Na siódmym zapukała
we drzwi od ciszy jasne.

Na ósmym stanęła w oknie,
dziecko na rękach miała.

Numer mieszkania
854.

Jak krew popłynął strumyk łkania,
gdy spoza ciężkiej portiery
spojrzała oczodołami
i uderzyła kośćmi w księżyc
jak w gong.

Ktoś skamlał: Módl się za nami...

Wiatr się w portierach wyprężył.
I tylko patos zwisłych rąk.

Nic więcej.

Zawołałem echo po imieniu,
odpowiedziałaś Ty.
Miałaś skowronka na ramieniu,
co w niebo trelem kołatał
jak w drzwi.

Zmilknie ptak — będzie koniec świata,
sąd ostateczny
dla ech, mgły, szumu i pór roku.

(Wieczność — poemat niedorzeczny
z Bogiem jak z łąką ogromną w oku).

Nim potknę się o śmierci próg,
echo, odpowiedz:
kto Ją naciągnął na gwiazd huk
jak biały, sztywny pokrowiec...

Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani,
żeśmy od wieków zakochani
w śmierci.

Podnosi pięść powstanie, syczy
ogień na dachach słomianych.
Oddziały duchów kto wyćwiczy,
żeby na komet pociskach
spadały prosto w bitew rany
na nową śmierć?

W obronie uśmiechów i łez bez nazwiska,
tęsknot, kołysek i cmentarzy
idą przez wieki samobójcy,
ojczyznę rozwijają z marzeń
jak sztandar (sztandar im zakrywa
oczy, widnokrag, świat i życie).

O, wojno w strasznym grzebiesz micie
swoich kochanków...
Spójrz, idą chłopcy malowani

rdzą ziemi, smarem tanków
i dymem miast.

Zakochani w śmierci na śmierć wyciągają
ręce — po epolety gwiazd.

13

Płód śmierci ciąży,
ból się wzdyma,
rozpycha tkanki, marszczy ciało
w jęk.

Myślom opuchłym coraz wężej,
zamarza mózg — i pada zima,
w sercu od zimy białe —
gdzieś w dole lęk.

Kiedyż wybuchnie z śmierci płodu
rakietą dzika?
I kiedy wieczność sfrunie młoda
z nieba jak z gołębnika...

14

Deszczu nabożny, deszczu cierpliwy —
módl się za nami.

Wietrze kaszlący, zgrzybiały, siwy —
zmiłuj się nad nami.

Pod Twą obronę, snów Rodzicielko —
uciekamy się.
Ty, Która nocą sterujesz wielką,
ulituj się.

Od dżumy czasu, od głodu wiary,
od natchnień ogni —
wybaw nas Władco mściwych zegarów.

Gdy żal jak robak serce przewierci —
niechże się wreszcie cisza stanie!

60

Naglej i niespodzianej śmierci —
użyj nam Panie...

15

Śmierć swoją matką —
z mlekiem wyssałeś
trujący ból.

Na cudzym statku
za śmiechem gnałeś
korsarski król.

Śmiech wędnie, kona —
drzazgi ze statku —

Marnotrawnego przytul do łona,
matko.

Londyn, jesień 1944

61

SIEWNA

(Trzy motywy ludowe)

I

W węzeł zwiąż włosy
i wrzosa wpnij,
wrześniu.

Pozbierał wiatr wszystkie kłosa,
fujarkom się w polu cknij.
Dymy wieś prześnią.

Poranki w zatokach mgły.
Wysokie maszty topoli
z banderą słońca.

Święta Urszula dzierga łązy.
Patrz, czarny kondukt wron na roli.
Fale skib płyną bez końca...

II

Trzy pagórki przyklekły w oberku
pod Dobrzyniem!

Przez rzeżuchę staw na wierzby zerknął
i echami huknął po kotlinie —
Hop — dziś — dziś!

aż noc dzbany ciszy w śmiech rozbiła —

Gniade konie wiatr przywiozły z Rypina,
otulona wiatrem tańczyła
dziewczyna.

A gdy kwilił świt wśród wiklin w Kikole,
ułapiły mnie wierzby za szyję
i ujrzałem idącą przez pole
Maryję...

Mojej matki miała oczy,
szła w jej modrej sukience,
ten sam kolor warkoczy,
chustkę miała tę samą —

Wyciągnąłem więc ręce:
— Mamo! —

III

Siej Maryjo —
Częstochowska, Skępska, Ostrobramska —
za tych co już pomarli i za tych co się biją,
za jeńców i za zesłanych.

Nic to że ugór twardy.
Z wiosną przyjdzie pług hardy!
Do Gdańska popłyną łąny...

Siej, Maryjo —

Urodzajna jest ziemia cmentarna.
Gdy się klechda ocknie wśród gminu,
kości ożyją.

Bądź szczodra, rzuć nam święte ziarna
w ugór Londynu.

8 września 1943

BRESSUIRE

Ciągną nad wiosną obłoki:
wzgórza powietrza.

Raz po raz lecą z kondygnacji echa
oślepte dzwony.
W uliczkach dzień bulgocze lśniący i głęboki.
Za miasteczkiem połysków mowa coraz bledsza,
tylko wiatr się szamocze w drutach uwieczniony .

Nuda wędruje tędy, depcząc szorstki żwir,
żwir z niedbałych, codziennych, niepotrzebnych słów.

Małe, dalekie Bressuire,
ośmieszona bekiem kóz i rykiem krów.
Pociąg przyjeżdża — i nic nie przywozi.
Pociąg odjeżdża — i nic nie zostawia.
Tylko o świecie błyszczą rogi kozie
i zabłąkany dzwon ciszę wystawia.

Dzieńdobry.
Dowidzenia.
Marsz pustą uliczką.
Ostry jak bagnet śpiew.

Znowu krzyże na słomie z okiennego cienia.
Znów koguty blaszane pieją na wieżyczkach.
I jeno w kwiatach słaba krew...

Nie rozdrzesz pamięci: szorstki wisi kir
tutaj, nad krowim rykiem, w sielskim Bressuire.

.....

Polska?

1940

DROGA

Jest ospała, szeroka droga
z Dobrzynia do Kikoła —
gdzie piach przesypuje przez szprychy czas,
gdzie widnokregi się ciągną od stoga do stoga,
a koleiny namotane na koła
mierzą przestrzeń, dopóki nie zawrze jej las.

Wzdłuż tej drogi w skrzypieniu osi,
w świergocie niestrudzonych kół
przesuwa się wciąż moje życie — z Dobrzynia do Kikoła.
Tu mi wiatr z całej ziemi wonie i barwy znosi
i przemijają pokolenia rojących się w słońcu pszczoł,
przeszłość z przyszłością na przemian na senne owija się koła.

Wy co mówicie o świecie, o ludzkości, postępie i jutrze,
nie zrozumiecie nigdy, że ta właśnie zwyczajna droga
z Dobrzynia do Kikoła
najwięcej nowego czasu w piachu swoim utrże
i coraz szersze widnokregi od stoga do stoga
otwierać będzie — przestrzeń motając na koła.

1943

INTERPRETACJA SŁOŃCA

Słońce zazdrosne o każdy kontur
podważa rusztowania cieni,
przez liście patrzy obłudnie.
Błysk po gałęzi pełza — jest już na końcu lontu.
Zaraz w hejnale płomieni
wybuchnie mściwe południe, —
chmury zestrzeli z widnokregu.
Patrz, w każdej chmurze złota strzała
drga
pokrwawionym tętnem barw.

Niebo dyszy i poci się w parnych popręgach,
nad wsią — na drzewcu wonnym — dym: chorągiew biała
światłu poddaje rowów dna
i studnie.

Zjeżdża południe
czołgami pagórów
za tyralierą rozchełstanych cieni.

Jakiś chłód przyczajony spojrział spoza muru,
aż krzyk łopianów się pod nim w kurzu na chwilę zapienił
i padł na wznak, —
ślad krwi na steczce: mak.

Mówisz: lato, mówisz: muzyka
w drganiach upału.
Wiem: słońce rośnie, o — wiem: cień znika.
Na czyją okrutną chwałę?

Londyn, kwiecień 1945

PRYZSTANEK: 1944

Idąc —

na zakręcie nocy
słyszałem księżyc jak kończył sam srebrne nieszpory
za naszą i waszą rozpacz.

Pod ziemią pierwszy pociąg wywiózł Hampstead na Leicester
Square.

Ewakuowano pośpiesznie świt
z zagrożonego przedpoła
dziecięcej wiary w smoki i rusałki.
Gazeciarz wyprzedawał poranne wydanie kłamstwa
przy St. John's Church —

i
ten sam łoskot
wrzucanego do piwnic węgla
jak zachrypły kur miejski
budził zasłony na oknach.

Przeciągały się — w plusku wody — piętra.

Wiatr wywiesił zachmurzone flagi
w tysiąc dziewięćset czterdziestą czwartą rocznicę
naszej i waszej rozpacz.

SZNUK PEEŁ DŁA AURY

Pierwsza

Gdzieś sto mil w głębi ciszy, na dnie mowy,
dojrzewają perły w muszlach słów.
Przypływ i odpływ serca: ty je przyciągasz jak nów.
Pójdę dla ciebie na łowy
i w perłach zanurzę pióro, Auro.

Druga

Po kamykach pryskiem plusku
pędził potok w popękany prąd.
Łasił się łanom a łodziom łągał łuską —
pośród łoż — poprzez łąki — po łonie pokusy.
Aż skry swe strwonił. Skąd strumień ten, skąd?

Trzecia

W uśmiechu się przeglądam jak w lustrze
Narcyz śmieszny, zakochany w Echu.
Echo w każdym kołacze się jutrze,
wszystkie dźwięki wysysa z oddechu.
Ramiona Echa — wiem — coraz krótsze.

Czwarta

Zieleń zielenieje w zieleni,
pejzaże wklęsłych odcieni.
Anglia.
Wiosna przetacza wonie. Pić moszcz nim się wypieni!
Anglia.

Piąta

Czujesz drżące muskuły auta,
zwierzę przed skokiem,
gdy skręt ulicy patrzy przekrwionym wzrokiem.
Ręce świetliste wyciąga — jak po ratunek —
w perspektywie tonący kierunek.

Szosta

Było źródło podskórne. Tylko tknąć, przerwać wargami
warstewkę piasku.
Teraz sonduję serce. Studnią skalistą głębiej —
lecz suche dno.
Boże-wiertniku, tryśnie poezja, gdy zranisz łaską.

Siódma

Stodoła. Wymarsz topoli
w pole ku mgle.
Mech strzechę zżera. Dym w górze boli,
niebo nawilgłe gnje —
dym nad chałupą: sztandar niewoli.

Ósma

Z czego się cieszyć? Z czyścica kolorów
i z dźwięków piekła?
Z czego? Z rżących w trzcinach wieczorów

i z chmur, skąd ropy skarg nie wyciekło
dość — na nasz refren nudny: śmierć — poród.

Dziewiąta

W Fabiankach zaraz za lasem
zaczynała się droga do nieba.
Anioły nią chodziły i dzieci,
a czasem
niebo szło drodze naprzeciw.

Dziesiąta

Rym ma wargi różowe,
nabrzmiące, tęskniące za słowem,
co w echu jak w muszli dojrzewa.
Rym — gdy mowie skradnie pocałunek —
w rytm napięty uderza jak w strunę.

Jedenasta

Bo wróżę z cienia, — chory mistyk.
Bóg rzuca cień przejrzysty
na moje sny.
Otwieram sny jak Boże listy,
a w listach tylko — łyzy.

Dwunasta

Niebo się zdaje wyższe w pociskach.
Korsarska łąka,
gdzie ogień kosi dzikie pastwiska.
Lecz ja w sielance mierzę wzrost świtu
śpiewem skowronka.

Trzynasta

We film wejdiesz jak w rurę czasu,
gdzie na ekranie
rytm twój w cudzy uderzy i stanie;

kanalizacja przestrzeni i czasu:
kino! A wieczność? Drzwi bez klucza i zasuw.

Czternasta

Sny nadają telegramy.
Szyfr co noc inny —
wikła się w szyfrach dnia.
„Dwa minus czerwień. Tygrys dzielony przez bramy.
S.O.S. W partyturze — kra”.

Piętnasta

W lesie inwazja brzoź,
patrz: biało-czarne sztandary!
Na polanach fortece słoneczne.
Rezerwy chmur widnokrąg zwiózł.
Z bagien jaskry się śmieją — bezpieczne.

Szesnasta

Jak zgaga w ustach smak zbrodni.
Krwi śladów nie zmażę z tęczówek.
Spichlerz serca — ale w nim przednówek.
Owoc zielonym zerwał — grzech pierworodny
i oto jestem głodny i będę ciągle głodny.

Siedemnasta

Prawa poezji zawsze jednakie.
Za morza samolot odleci
w pożółkłą jesień stuleci.
Lecz wciąż go będą nazywać ptakiem
zdziwione dzieci.

Osiemnasta

Dotyk światła szorstki jak szelest,
usycha każdy cień,
z konturów chudych wstaje dzień — szkielec

i orzek owadów wycina w pień.
Miserere.

Dziewiętnasta

Po mózgu wybrukowanym
łoskotem ulic
myśli pędzą — czarne karawany.
Z tyłu się serce wlecze o kuli.
Ściany i ściany. Ściany!

Dwudziesta

Rodzę się rano.
Dojrzewam — wolno — ku południowi.
Potem czas się zacina, aż tryby w rdzy staną
i zmierzch siwiejąc nocy starczej powie:
Zaprawdę umrzesz, lecz sny zmartwychwstaną.

Dwudziesta pierwsza

Na rzęsach chmur jeszcze łązy,
a już podpływa
uśmiech jak przebaczenie.
Światło nas wiąże stułą. Ty
chcesz światłem obrabić cienie.

Dwudziesta druga

O, jak smutne są spichlerze łąz,
cmentarze w ciszy wykute,
podmywane strumykami pacierzy.
Lecz najsmutniejszy grób, w którym leży
czyjś bezimienny smutek.

Dwudziesta trzecia

Z brudnych ścian mego pokoju
cienie zwisają jak nietoperze.
Do snu mi budzik szepcze pacierze:
Spoczywaj, spoczywaj w spokoju,
natchnione rozpaczą zwierzę.

Dwudziesta czwarta

A może,
gdy już przywyknę do cudów
i pojmę tożsamość przemian,
będę prosił zza grobu o ciało jak o obrozę
i komet pytał: Gdzie ziemia?

Dwudziesta piąta

Szyby okute słońcem.
Witraż zachodu.
Wzruszenia jak ostrołuki.
O, myśleć — myśleć dotykiem!
Rozumieć wzrokiem!

Dwudziesta szósta

Wiatr mi poplątał w mózgu zwoje,
roztrząsał antenę serca,
wiersze jak wydmy zwiął.
Rozniosło słuch i wzrok. Ogluchły — ślepy stoję
u wylotu niebem nabijanych dział.

Dwudziesta siódma

Tak samo, mammo, tak samo
dniom się przyglądam jak kramom.
Wzrok mi odmyka muzyka dzika,
aż wróżbę wcieli tętent piszczeli:
Apokalipsa na karuzeli.

Dwudziesta ósma

Mówi co rano lustro:
Śmierć ci w obliczu wyszczerzę.
Chcę zakryć wstyd pianą jak chustą —
i grymas w kąt wepchnąć ustom.
Wiem: z twarzy mej zgałam zwierzę.

Dwudziesta dziewiąta

Błądny trubadur z Prowansji,
wasal Dobrzyńskiej Ziemi —
kto strzaskany hełm ubierze piórami,
kto odepnie cierniowe strzemię?
Róg księżycy przewiesiłem przez ramię.

Trzydziesta

Noc mnie zza chmury dopada
kindżałem księżycy — jak zdrada,
i knebel mgły w usta wkłada.
Świt pocałunkiem Judasza
na nową Golgotę zaprasza.

Trzydziesta pierwsza

Ćwieki wykrusz, sprężystych ech nie gnieć już stopą,
mdłe rany zaszyj haftem pajęczyny.
Europo, o arko stręczona potopom,
bestie nie zdechły w zaduchu padliny.
Z wysychających kałuż — żabie skrzeki.

Trzydziesta druga

W kształt skrzyżowanych piszczeleli
wspomnienia na poprzek fantazji.
Na grobach lat — w welonie sad.
Tych metafor nikt stąd nie wypieli,
bo Bóg zasiał barokowy świat.

Trzydziesta trzecia

Auro, poskromicielko
dzikich barw i wichury
nieujeżdżonej przez chmury.
Sznur pereł na szyi Aury.
Jak spać go rosy kropelką?

Londyn, czerwiec 1945

SENNIK SZATAŃSKI

I

Szatan — włamywacz snów
mrok zastrzykuje w powieki
i znieczula litanijne wargi.
Każdy obraz, wykopany z życia, żłobi w oślizgły rów.
Z bezwładnych zdumień wzbierają rzeki,
spływa — spływa kolczasta kra
w ocknięte kanały godzin, w ocembrowane studnie dni,
gdy zakażeni snami
dźwigamy się z łoża jak z dna,
a każdy kształt niedospany kształtom znajomym kłamię
i echo kopyt szatańskich w gardle jak flegma tkwi.

Na łożach, na tapczanach, na pulchnych poduchach grzechu,
na zaczadzonych pokusą operacyjnych stołach,
skroś rozkrawanych mózgow galopuje piekielne echo,
a cień, wisielec światła, samobójcze pragnienia woła
we wiry szatańskich wizyj.

II

Minuty wystukują depesze.
Czuje:
pasemka szyfrów, — przechodzą przez oczy
i zapyłają niekarne obrazy
hieroglifami znaczeń.

Paraliż pokraczny. Patrząc,
oddycham w zjaw dmuchawce wiotkie,
co na łodygach lepkich,
lepkich namiętym natręctwem,
kołyszają się we smudze tchnienia.
Wchłaniam narkotyk depez,
szyfry tłumaczone na strach,
komentowane kłamstwem.

Dmuchałce
dmuchałce
na wydmuchowie wycia,
widma zapylające
sygnały w diabelskich wiciach.

Jakże piekielne telefony rozłączę?

III

Szatan
wykrzywił sen
jak zwierciadło
i odbił mi dzieciństwo w grymasie.
Tabun grymasów stado wyc dosiadło

i wzdłuż ram wizji jak po torze:
wyścig — wyścig! Gniewem batozę
reżymowane chichoty i dreszcze
Głębiej w sen! Aż po zgrzyty dna!
Niech zwierciadlany tabun gna —
jeszcze, jeszcze!
Niech ramy pękają, może wizja
prześcignie galop skojarzeń.

Wykrzywione tarposzą się twarze
nade mną, pode mną, już we mnie.
Każdy chichot i dreszcz jak gong w ciemności
wali,
wali rytmicznie.

Gniew. Ach, czemu gniew nam sny osmalił
apokaliptycznie...

IV

Cios
między oczy nocy —
i
w wyrwie dźwięku —
sercem na dół spadanie —
w zawrót —
wśród gruzów lęku.

Dokąd?
W jakie leje ciemności?
Pytać-bo: czy głęboko —
snu, który łamie powapnione kości
o krawędzie bylejakich majaceń.

Wiem co to znaczy
wyrwa — dół — parów stromy.
Spadanie, spadanie w piekło,
gdzie snów wczorajskich zatopione dzwony.

V

Wierzę w Szatana,
który zstępuje w sny nasze
i zamazuje profil grzechu.

Wierzę w pokus obcowanie
i w pytań epilepsje
i w rachitycznych lęków taniec
na rytmie naszych oddechów.

Wierzę: jest w każdym śnie stryżek Judasza
samobójczo doczepiony do rana.

VI

Zatrueś mi studnię,
(siedemdziesiąt siedem metrów w głąb serca)
zatrueś skrzypliwie wiadro,

które z mózgu do serca spuszcza
sponad pokrywy dnia w buro bulgoczącą noc.
Szatanie,
co z mych oddechów spinasz koszarne namioty...

Niech się twój smutek stanie,
iżbym mógł obezwładnić cię własną tęsknotą,
tęsknotą za żurawiem, który się nachyla
wprost z objawienia
w mój zarośnięty snami potok.

Oto noc się we mnie przesila
i odbicie nieba w potoku żuraw w niebo płynące przemienia.

VII

Kształty snów lepią się same
z wyziewów wspomnień
nieskanalizowanych,
i ze zdarzeń rzutowanych na oślepe
z pozajutra.

Każdy sen ma oszkloną bramę,
za którą świat się tacza nieprzytomnie,
o myśli bijąc jak o ściany.

O, po co się szamotać, po co?

Sny przedrzeźniają życie,
wszystkie wczoraj i wszystkie jutra,
z maskarady pstrej się chichoczą.

Pod głaskaniem ciemności jak pod gładkim futrem
obłaskawione łaszą się łanie,
którym Szatan kazał paść się przy studni,
przy cembrowanej studni mego serca.
Szatan szyderca
łaniami łudzi i łuną kłamie.
Jak dźwig nad snami jego ramie
obniża się, podnosi,

wyladowuje z okrętów jutra i przeszłości
niewykupione towary.
Ach, zewsząd — zewsząd straszne toboły mi znosi.

Na śnie ostatnim stoję jak na kapitańskim moście
i supły rozwiążę tobołom,
przedrzeźniające układam mary,
i wołam, wołam
o świst świtu.

VIII

Ile, ile zbrodni
popęlnionych w zakamarkach snu,
w spelunkach zadymionych nocą,
za węglem świadomości,
gdzieś na rzeźącym trzęsawisku strachu.

Za dnia nierozgrzeszeni mamy spieczony smak, wzrok głodny
i upał tchu,
pokusy wargi pałą, uszy nam łachoczą.
Biegamy po schodach snu, po wielopiętrowym gmachu,
po lupanarze lubieżnych luster.

Za dnia byłeś faryzeuszem,
świętoszkiem wstydliwych myśli.
Patrz teraz w siebie,
patrz teraz w siebie,
prosto w grzech —
przez powiększające szkło wypukłej pokusy.

Dzień z powrotem zagrzebie
pamięć — rozkopane mrowisko
i wymaże z niej twoje nazwisko,
Szatanie...

Lecz kto ze snów wypowiada
i zbrodniami zapisany zeszyt
rozwikła jak złośliwe zadanie?

Kto nas z szatańskich snów rozgrzeszy?

IX

Samotność to zapatrzenie
w siebie,
to sonda w głąb ciszy,
kotwica dotykająca kresu
samopoznania,
gdzie przedmioty rozbierają się z kształtów,
gdzie nagi przeży się głos.

Cóż z tego, że rzucam na sny moje domowe cienie,
że na biegunach miękkich je kolebię,
skoro mózg ślepnie i po omacku dotyka zjaw i nie słyszy
wołania — nawoływania
spoza bram jeszcze niedomkniętych snami.

Nie piętrz się nocy, pstrej nie zganiaj hałasty,
o zmiłuj się, zmiłuj nad nami,
którzyśmy jak topielcy odęci wodą burą
na grzbiecie prądu
o dychawicznych skrzelach przyplływów.

Pono gdzieś gwiazdy pną się po chmur powojach — górą, górą,
i widać zielone gesty witającego ładu,
i anioły zbierają w naręcz bujną zniwo,
i widnokręgi trącają jak struny.

Oby móc lec na myślach wyściełanych niebem,
zapatrzeć się w bez-stronny kierunek,
konturów nie czytać w mgłach...

Oby samotnym być w snach!

X

Przeciwko zapatrzeniu w muliste strugi snów,
przeciwko urzeczeniu chlupotem młyńskich kół
(koła, koła na każdym śnie...)
wznoszę fortyfikacje z litanijskiej spajanych słów
i krzyżem przecinam piersi. Operacyjny stół
pod lancetami bożymi teraz posłusznie się gnie
w parów pacierzy, w wąwóz wieczności.

Na próżno za szybą przejrzystą myśli nachalne nagłą pościg
i z niespodzianych zdumień wypelza bezwład bez kształtów.

Szatanie, nie dobijaj się do mnie,
do szyb co zaszyły snem.
Zasadziłem na sercu płomień.
Oliwa ścieka mistycznym dnem.

Londyn, styczeń 1946 r.

MOTYW

Jesień. Złote masz oczy.
Jesienią opadają ręce
i usychają słowa.

Naga — bez gestów — stoi mowa.

Wokół pór roku serce się toczy,
każdy obrót zastyga w obręcze.
Południki i równoleżniki,
kulisty czas.

Niech szadz smutku zaszroni krzyki,
na których gniew się pasł.

Pojesienieją nasze ciała,
bo śmierć barw złotych we wzrok nawiała.

Londyn, wrzesień 1945 r.

STYGMATY

I

Ja — stygmatyk wieczności
krwawię.
Szramy snów sprzed dzieciństwa
twarz wywołuje jak klisza.

Oddychać. Oddychać, nie głębiej —
wyżej !

Szczyty płuc niebem zajęte.
Nieba nie strawię.
Wiem : stygmatyczna cisza
pod gwiazd podkutym tętentem
wisi nad moimi dłońmi,
nad oczyma,
nad czołem —
i z życia trwożę wyżyma
i siąpi przecuciami
na dni od nudy gołe.

Boże, niegodnym twych batogów,
pokaleczony wiecznością
stygmatyk smutków,
szalenię snów.

Za bliskość.
Za bliskość.
Razi — porazi radość,
pali — popali miłość.

Patrz : płuca podziurawiłeś podmuchem parnym.
Niebem się krztuszę
ołtarz ofiarny.

II

I oto
przetrażony mam dotyk,
zmiażdżony wzrok,
zduszony wdech,
rozsadzony słuch.

Czas się usuwa pod nogami,
wieczność patrzy oczodołami,
tylko kosmos — kościotrup kontrastów
kręci się wokół osi tęsknoty.

Ból ogłuchł, stęchł
i spuchł.

Miele się miazga mgły. Gwiazd ruch
na chmurach jak na chorych liczydłach.

O, nie zasypiać. Raz nie zasnąć, raz nie rozesłać nocy,
raz nie przykryć się siatką szepczącą
zegara,
lecz na krzyku na wznak jak na marach
legnąć, — wyzionąć ostatnią rozpacz,
aż się gwiazdne liczydła poplączą.

Bo
obnażyłeś mi świat ze zmysłów,
Boże,
i w pień wyciąłeś pięciornicę wrażeń,
iżbym był bliżej ciebie.

I oto niebo mi prysło,
gdy pięciorną zdjęłeś obrożę,
kiedy przygniotłeś własnym ołtarzem.

Spod łaski twojej kto mnie wygrzebie?

III

O, wydani na pastwę stygmatów,
którzy mnie zrozumiecie po jutrze,
za progiem przeczuć
stojąc —

Bóg jest więzienną kratą,
piratem pobłąkanych snów.
W zmierzchu puszystym futrze
wytrych chowa, wyważy wieczór,
wykradnie nów.

O, natchnienie — chorobo wierszy,
Bóg się poezją zaraził pierwszy.
Wicher roznosi po ludzkiej kniei
dżumę mistycznych epopei.

Co się rozkłada i umiera
równe kwitnieniu.
Bóg kraty kuje, kraty otwiera
w świętym zdumieniu.

Śmierć ma szerokie ramiona,
szerokie ramiona ma ziemia.
Dłoń stygmatami natchniona
słowa zaciemnia.

Londyn, styczeń 1946.

MINIATURY

WYPATRZONE

Zaraz za opłotkami chmur
słyszysz: szczekają gwiazdy
na turkot srebrnych wozów.

I jeszcze: brodaty bór,
i jeszcze: warkocze mrozu
z kokardami upiętymi na szumie.

Patrzyć — patrzeć. I nie rozumieć.

PRZESTROGA

Nie szukaj wiatru gniazd
skąd drzewa wyfruwają młode
na poklask barw.

Odcisniętych nie szukaj przywidzeń
na rudym trzęsawisku mgły.
Kłombów nie licz, idąc bożym ogrodem,
bo w każdym kłombie kwiat kolorem kpi.

ŚNIEG: CARITAS

Poezja spada z nieba
ukosem.

Kamienny pejzaż ulic się zawahał —
i każda czerń śniegowi kwili: „przebacz”
okaleczonym kołami głosem.

Bandaż — bandażę mota ktoś miastu
na dachach.

RYMY CZĘSTOCHOWSKIE PODSZEPNIĘTE NA SOUTH KENSINGTON 9 MAJA 1946 R.

O, gdyby śniade kopuły
miedzianym wydechem wyczuły
nieba muskuły!

O, gdyby obłok sprężony
schwycił na lasso dzwony
i z gniazd dźwięku wypłoszył wrony...

Marzec-czerwiec, 1946

STATYCZNE: DZIŚ WZGLĘDNE

(Postscript do „Wierszy o dzieciństwie”, 1935)

a

Nieruchome topole przygwaźdzały horyzont
do wschodów i zachodów,
choć się stadami kuropatw podrywał
wiatr z miedzi, jak gdyby za zasięg słuchu
wyfrunąć chciał.

Ale zwężone źrenice światła
trzymały powiew na odległość echa,
hipnotyzując
sombuliczne kontury drzew.

A w górze znieruchomiały śpiew:
skowronek
dotykał kopuły dzieciństwa,
pierzastym się stawał dzwonem,
skrzydlatą sygnaturką pogody.

O, statecznie statyczne granice
dziesięcioletniej swobody,
o ziemio płaska nawet w snach!
W zatokę nocy księżycy kotwice
spadały, sięgając dna
konkrety.

W kosmicznym systemie dzieciństwa
słońce wirowało wokół mnie.

Z dokładnością rytmu poety
pory roku ktoś nizał na podłużne dnie.

b

Ojciec umierający
pokazał kopernikowym gestem
niebo względne jak śmierć,
wyższe od śpiewu skowronka,
ruchome ponaglająco.

Nie zastąpiły mi drogi topole, lecz poskarżyły się szelestem
na drugi horyzont, na trzeci,
na...
Zrozumiałem: kotwice księżycy nie dosięgały dna,
za duże były oka na każdej nocnej sieci,
żeby zatrzymać pewny połów dnia.

Mniejszy w perspektywie rozstępujących się horyzontów
dojrzywałem
ku rozczarowanym odpowiedziom lat,
za świadem tłących się lontów
węszyłem naboje śmierci
kolumb, makabryczny swat,
po smętarzach babrzący się smętek.

Za chwiejne były statki bez kompasu,
za chwiejne były porty bez przystani.
Trzeszczała zardzewiała oś globu pod kolumbowym okrętem,
gdy ster brzdami wody wciążył cyganił,
iż wie
bryzgiem jak bluzgnąć w kierunku — gdzie,
a jeśli tonąć — na którym dnie.

Dziś znów ta sama drzazga — nie do wyjęcia — boli:
pamięć statycznej granicy, somnabuliczne widma topoli.

Oxford, 8 czerwca 1947 r.

POWSZEDNIE

1

Czymże jest rano... Rana,
przez którą broczy
światło ?

Brzask miał nabrzmiąle ciszą oczy —
teraz —
odpryski ech spod kół ulicy
kaleczą okna — uszy domów.
Drzazga wbija się w miasta słuch — i uwiera,
puchnie od dźwięków każdy róg.

Spoza zakrętu
zygzak auta jak profil gromu :

huk —

łoskot echem następuje na pięty.
W dżungli rannej przystanki zastawiają pęta.

2

Popołudnie jest pochyle.
Łagodne, gładkie zbocza.
Jak szybko się po nich stacza
czwarta na szóstą.

Przestrzeń zapatrzona w ciszę
wywołuje godziny — prześwietlone klisze,
a wiatr o mokrych oczach
daje strawę ulicom jak rozwartym ustom,
kierunkom się wszystkim przymila —
i jeszcze bardziej przechyla
czas.

Ludzie, patrząc na niebo, mówią: nieboskłon,
nim zejda na dół — w zmierzch po pas.

1945

THE SPELLING OF LOVE

1

El elokwentne Lawina liter
z listw alfabetu wylana
Tylko L wargo-lite
sylabizuje samo
la li la la
li
Zali
Love Lubość lęku nie oddali
Zaklnie li linie swoim lali
la li la la
Ale
I jest przecież ramieniem krzyża
Pion-Poziom na nim wisi stale
i jak drogowskaz niebo zbliża
aż w czteroramiennej chwale
Love i Lubość równe znajdą szale.

2

Ranek nieśmiały jak wyznanie
rumieni się aż poza klamki,
aż po leniwe krawędzie ubrań.
Zaraz się uśmiech stanie,
strzępiasty kolorami
w ramionach otwartego okna jak w objęciach mamki.
O — zbyt miękkie to poranne ramię.

Objaw się wreszcie, biały kolędniku, w zaryglowanej snami
o wieszczu stuków-podźwięków, rozganiaczu mgielnych miraży:
mleczarzu! [bramie,

3

Śnieżne przedrzecze
śnieżne zarzecze
to gwiazdy zacinają wprost w twarz
gdy dwa mosty jak w pochwach miecze
bezdźwięczną pełnią straż.

Tędy na skrzyżowaniu cieni
gdzie drogowskazem wiatr
idziemy niebem ośnieżeni
młodszy o światło gwiazdnych lat.

Masz pochmurny szal na ramionach
z frędzlami mgły
a noc w szal twój i w Chelsea siecze
gdy pod mostami barki jak nieruchome kry
gdy pod barkami rzeka ku ujściu przechylna
śnieżne przedrzecze
śnieżne zarzecze

4

Nisko pełzają we mgle
psie-kocie dnie,
a na każdym mokra obroża,
jak gdyby z nagła smycz Boża
dotknęła ziewających den.

Po dnach tych Ogar Wielki węszy sen.

5

Ileż pochmurnych dni obmurówuje miasto!

I tylko światło twoich oczu,
i tylko dotyk twoich oczu.

Idąc zamykasz koła magiczne,
mówiąc rozginasz koła magiczne
nad każdym słowem :

6

O JAK ORION

(zaklęcie mitologiczne)

Okrągłeje ogrom
opodal
o otrzeć się oń

Orion okwiatom otwiera oczy
Orion to oda
optyczna skroń
w orbicie owalnych orgii
Olbrzym ongi oślepy co na obłe poluje obłoki.
O oby O oby
oby oś orbu worana w okrągłejący ogrom
opodal oto
pozwoliła otrzeć się oczom o
opętane O
O jak Orion
Potoki planet przecież po to
patrz
opływają oparnymi sploty
Orion — orionowe ostrokoły
(ongi olbrzym oślepy ongi oczodoły)

Ogni się ogni
odzywa
oda w odwiecznych ogrodach
o na o — o na o — ogniwa
Orion jak O
Orion jak O

dogorywa

94

7

Gdy kochankowie zmęczeni
wypukłym dotykiem nocy
ocierają się gniewnie o szorstką szerść światła,
popołudnie, — przegięte w monotony plusk
niedokręconych kranów godzin —
przeciągając się, ziewa, łąsi i sepleni.

Potem się noc obnaża z gwiazd jak z łusk,
a Bóg aż po pas w ciszy mściwej brodzi —
zazdrosny
o zwierzęce natchnienie pół-anielskich dusz;
więc klóci nasze oczy z naszymi słowami,
a nasze ręce z naszymi wargami —
i knebluje nam serce mdłymi pytaniami:

Cóż... cóż? cóż!

1947

95

NORWID

W podmurnych się zdrowaskach wygrzewali dziadowie często-
[chowscy.
Znad zaścianków, przysiółków ranne wstały zorze.

Jak trudno milczącemu od-począć tu, w mowie,
gdzie sejmik pulchnych świątków epigoni włoscy
zwołali do nisz, kadząc, mgląc profile Boże.

Tu łatwo swą strzelistość wielbią dzwonne wieże,
wyprawiając za morza koczownicze ptaki,
i łatwo kołowrotki klechdy przędą z wierzeń,
skoro bard do ech obcych przymierza chodaki —
i marzy, że dym z fajki zabłądzi pod strzechy,
zmiesza się z sadzą swojską i odkadzi grzechy
jaśniepana i kmiotka, kniazia i siczowca :
więc cierpią rymy trzynastozgłoskowca
za milijony.

Tobie kołodziejowych jak się dokuć rysów
poprzez ironii skrzep ?
Stylem jak odbić epigoński tynk,
by skargę szczerbić o pra-słoje cisu,
co krzywy podpiera sklep
ukrzyżowanym trudem zwiśłego ramienia.

W urągowisku światłocienia
kształtów zaprzaństwo.
Nie pospolita rzecz,
lecz pych poddaństwo
na dzikich polach proroctw i blagi.

Tutaj jeno na łąkach bocianie areopagi,
jeno po dziuplach niema mądrość sów...

Od żebraczych zdrowasiek, od melancholii krów,
zapatrzonej na przełaj, gdzieś —
od wierzb zmierzwionych łąbów,
potakujących drodze, gdy gdacze do wtóru wieś,
od ptasich wiosną emisariuszy,
od . . .
kto myśl wyzwoli, wysupła z rzewnych skojarzeń,
kto wstrzyma serce, a mózg wzruszy —

i profil nakłoni ku twarzy
o głowy zwrot.

BŁĘDNY RYCERZ

Potrójne motto:

„CruX fidelis, inter omnes arbor una nobilis,
nulla talem silva profert fronde, flore, germine...”
(Fortunatus: *Pange lingua gloriosi*)

„My loue abydeth, thyne ys away;
My loue the calleth, thow stelest me fro;
Sewe to me, synner, I the pray,
Quia amore languo”.
(*Quia amore languo*)

„O angiele
Gabryjele!
Gdzie jest ono twe wiesiele,
Cóżes mi obiecować tako barzo wiele?”
(*Zale Matki Boskiej pod krzyżem*)

I

Było to dawno temu,
tak dawno, że nawet powietrze
spróchniało i chorą rdzą
złuszczyło pamięć studzien i bram.
I odtąd ehom w studniach niemo,
w bramach liszaje po prętach się pną,
a czas wypada z popękanych ram.

Było to w umierające popołudnie,
za panowania gwoździa i młota,
kiedym wbijał jęk w drzewo, zalepiał nieswoją krwią,

pod rozkazem przycupnięty obłudnie.
Mnie nie po trzykroć koguty piał na płotach,
lecz po tysiackroć.
Mnie żaden wzrok niewieści nie przekupił łą,
bom był posłuszny jak pokłon
prawom bicza i gwoździa i młota.

A oto czas, wypadły z ram,
rozsypał się u moich stóp — i stoję sam.
Za plecami cień mściwy: Golgota.

II

Inni wywiesili swój wstyd na szubienicy
jak flagę kłęski,
inni cofnęli się w lęk, w ustronie łą.

Ja wolałem puls zdusić w żelaznej rękawicy
i ślepnąć pod przyłbicą — dufny, twardy, męski,
słowo przekułem na gest.

Ach, czemuś spojrzała na mnie, Smutna Pani,
i lilią uczyniła gest niepokalany,
że dla tej lilii i dla Twego smutku
ruszyłem w apatyczną noc
pod obserwacją krogulczych sosen,
podawany od echa do echa,
jak klaskająca o ciszę łódka.
I drogi mnie czekały cierniem podkute, piachem bose,
i zagaje, gdzie nawet wiatr błędzić zaniechał.
Lecz Pani Smutna mnie wysłała
na wędrówkę — i lilią zegnała,
otulona czereśniowym sadem.
Więc dokoła tęsknot własnych jadę.

III

Wilki skaczą do białego gardła
łękliwej zimie,
a mnie do krtani skacze przypomnienie,
wżera się w przeczuć tętna.
I każde w lesie drzewo staje przy mnie,

na krzyż układa wychudłe cienie,
przez cienie kły gwoździ pamięta.

O, Święta,
lilijna Pani,
Która mi każesz być błędnym rycerzem,
rzuć uśmiech dzwonka z nieściągłych sani,
a zasieję w śladach płóz pacierze
i ślepiami wilków ciemność wymierzę
bez trwogi.

Ty bestie odganiaasz gromnicą
od gardła zimy
i płozami kierunki wtłaczasz w miałkie drogi.
Nieba przychyłasz zdrętwiałym kalenicom,
a chmurom zawierzasz dymy.

IV

Któryś wędrował dokoła tęsknoty,
czy wiesz gdzie litość się kończy,
czy wiesz na jakim południku serca
leży Golgota?

Mówić? Odpowiedź każdą wywieszają wiatry — psy gończe,
nawet głos sobie rzuci w twarz echo. Echo — szyderca
do wtóru klaśnie skałom, ruinom,
co się złuszczyły wstydem i winą,
napiętnowane głośno przez słońce.

Na każdym południku serca
stoją trzy krzyże.
Od wschodu pychy na zachód wiary —
zasianym w śladach płóz pacierzem —
za ślepiem wilczym, co ćmi jak ogarek,
jadę — trubadur pobielany słońcem —
i faryzejskie wiozę ofiary,
o świętość lilijną zazdrosny.

A Pani Smutna drzazgi z rąk Syna
wyjmuje lekko i w lilie wpina.

Te drzazgi w lilii —
ta biel kolczasta.

W poszukiwaniu bólu
jadę więc ?

Wilki na zaspach wilii
podają sobie ślepiami znaki,
uszy ku dzwonkom sanek tułają,
gdy mróz na sosnach jeży sopliste kołpaki,
a w oknach marszczy krzaczaste brwi.
Słabym jak cisza. Od ciszy mdli.
Od bieli w oczach głodnych czczo.

Czy przyjdiesz wreszcie, Smutna Pani,
zerwać rycerską przysięgę
jak płatek, użylony krwią ?

Dlaczego każdą miłość drzazga podskórna rani —
i nawet pamięć spróchniała gwoździ krzyżowych sięga ?
Przyszła. Z drzazg w lilii wykrzesła gromniczny ogień.
Śmierć jak próg. Ślepia wilcze pogasły za progiem.

Chelsea, grudzień 1947 r.

ANTY-WIERSZ

Kto tak nakłamał w zasiedzonym pejzażu?
Kto nawiedził kolory w lustrzanym atelier,
(Czy wtedy, kiedyś wyszedł poza własne stalugi?)
że wiersze się stały ciężarne od przymilnych pięknotek
i, rozpieszczone w bezkształcie byle jak odbitych nazw,
powiły liściaste potworki drzew, odęte bliźnięta chmur,
pyzate cyklony okien na wzgórzach, kalekie pnie —

a wszystko pod rytmem pachnących mdło, jak pod pokostem,
z miedzianymi ćwiekami rymów na połysk mędrkom i gapiom.

Kto tak nakłamał w romantycznych ruczajach i żab rozrząził chór?
Kto mgły powywlekał na łąki, przebrane za strzygi, upiory,
że wciąż po grząskich balladach od zwrotki do zwrotki się człapią
i budzą w betach mieszczańskich na snach wypasione zmory.

O pasiakowa, łapciowa,
liściasto-zabia, upiorna,
sielsko przez senne sasanki na skroś sepleniąca mowo,
na której wisi przyroda jak źle przykrojony ornat
ze złoceniami doszytymi na pokaz —
wytlumacz :

po co
ta kakofonia kwiatów, to krasne obżarstwo oka,
ta pycha pytań na palecie i ten pobożny rumor ?

po co te gwiazdy na zwiadach, ów miesiąc znudzony nad nocą ?

Wiersz spina (na wszelki wypadek) ojczyzna niczym agrafka,
a w wąskim przetyku wieszczą : tęsknota, patos i czkawka!

Kto tak nakłamał...

INDEKS ŻYCIA

Chciałbym wreszcie spojrzeć spoza siebie,
przeszukać indeks życia, czytając przez ramię,
poprzez napięte ramię chwili,
która się kurczy w śmierć.

Jak na parasol na pogrzebie
kroplą by wieczność spadła na mnie.
W odprysku mógłby się przesilić
ten gniewny żal o indeks ciała,
o wypisy z poskracanej pamięci,
gdzie serce mierzy poziom krwi jak poziom rtęci
w gorączkującym termometrze.

Indeksyjnie sprawdzalne rozdziały
naszej przeszłości
spojrzenie jedno przez ramię śmierci
przestawi, albo w sens swój wetrze,
lub zamazując sens — uprości.

Nie ma odwrotu od raz zaczętego pytania,
które nam na przyływach serca głąb odsłania,
gdzie lśnią, spłaszczone pod ciśnieniem,
wróżby jak ryby przejrzyste
z centkami znaczeń krwistych.

Czy w głębi tej są wróżby, czy tylko odbicia
zwątpień niezaleczonych
na uśmiechniętej powierzchni życia :
nie wydaję, nie wytłumaczę —

aż chyba — kropla po kropli —
jak na parasol na pogrzebie —

spadnie sam sens z roztapiających się sopli,
które teraz wymierzone w nas — na niebie —
grożą krwi w termometrach niezamrożonej rozpaczą.

PIĄTY POEMAT

Kiedy umarłem

dzień był jak ze szkła —
ze słońcem zamrożonym w środku,
aż bolało przejrzycie
patrzeć od dna do dna
w stronę klaszczących podków
skąd światła sanna —
i sople. Z sopli fantanna :

wyścig.

Kiedy uma
umar

maruder —
mży marudzący u mar tuman —

umarł
kto
z rozsypanych sylab sens
kto złoży w deseń sens

*) Poprzednie cztery poematy o budowie eksperymentalnej: *Prowincja* (1935); *Siedem dni stworzenia* (1938); *Kula magiczna* (1942); *Sennik szatański* (1946).

Zasłyszane motywy klechd: uroczone oczy, które trzeba wyrwać i zakopać, bo zabijają spojrzeniem; słowa zamazujące podczas srogiej zimy; ręka zmarłego dziecka prosząca z grobu o karę; rozpoznawanie czarownicy po czkawce.

z góry na dół

aż boli przejrzycie

bolało

patrzeć wprost w ześlizg słowospadu —

Wyrzutować tedy ów wyścig ?

Rzutować spoza
na siebie sprzed :

Poza?

A przecież gdy przymykam wiersze —
powieki napuchłe od słów —
chatę w pasiakach wisząc : życie sepleni (*dzień*).
Przymrużam pamięć : wszystko szersze —
nawet nabożne pielgrzymki krów
ku polanie pogańskiej, poświęcanej rosą.

Głob zarośnięty trawą, okrągły jak wymiona (*noc*).

Spać z kurami. Lecz sny się źle tego lata niosą.
Może zima, która drze pierze z chmur i z kurzych piór,
od pasiakowej chaty naniesie puchu
do senników egipskich.

I odeślą się wróżby i przybędzie duchów
do uroczonej miski.

(*Kto chytry, czarownicę rozpozna po czkawce.
rdzę diabelską rozdepcze w pękatej purchawce*)

Lecz nie dam wyrwać moich oczu z orbit,
nie zakopię uroczonych oczu —
niech uśmiercają raczej.

Bo słowa raz odbite to pieczęcie wzroku ;
choć zamarzły w ów dzień (*jak ze szkła*),
kiedy umarłem (*ze sopli fontanna*)
innym odtają wiosną w połysk znaczeń
i ułożą się czyjemuś oku
w ten sam deseń, na który zachłanna
czeka pamięć rzutująca spoza :

(z dołu w górę
i znowu w dół)

Kto tak
osie wysmarował
we wozach,
że nie słyhać za jakim murem
grzebiemy po każdym obrocie globu i kół (*kół*)
trupy zeschnięte jak purchawki.

Uroczone zakopują oczy.
Twoje ? jego ?

Na łuku Apolla ? O — choćby na cięciwie agrałki
osadz słowo, celuj w metaforę,
jak w drzewo wiadomości dobrego i złego :
bo nie ma prozy w perspektywie
przymkniętych oczu.

Światło (*przypomnij*) zamrożone w piwie,
na werandzie hotelu (*data : któryś-tam obrót ziemi*)
jak topniejące słońce w środku dnia —
wychył pamięć przejrzycie do dna !

to tylko chwila napięta na barwie : otożes poczuł
muśnięcie metaforycznej cięciwy.

Wtedy pierś góry spod rozchełstanej mgły
wyglądała lubieżnie : pokusa barw po zboczu,
po opalonych nogach ześlizg dłoni,
Góra : czy bardziej poetycka od piwa ?
(*W nawiasie faryzejski zez*)
W kuflu wciąż światło. Grudka zamrożona broni
skojarzenia tkliwszego od jej zdradzonych łez,
w których tajała rozpacz na długo przed wiosną.

Nogi : skóra powleczone słońcem : skurcz —
nogi jak lodygi po raz drugi na rozkosz odrosną.
Werandę ktoś przesunął za stare dekoracje,
a wargi poza spierzchnięte pocałunki.

Jak rzutować z podniebienia na podniebienie
smak światła, warg i łez i trunku ?

Uroczone zabiły ją oczy. Zakopano natomiast wspomnienie
pod świstem lokomotywy, na piwem podmytej stacji.

Boże,
jestem jak
postument z ołowiu :

ciężę w dół.
Śmierć nie nakłada odlewu głowy
na kadłub, wypatroszony z grzechów,
ledwo duszę obejmuje w pół
w ślepych pośpiechu.

Cokół bezgłowy jestem : po omacku szukam
profilów czasu na sprężonych łukach.
Wszystkie profile gotowe do skoku.
Między bezsensem i Bogiem trwam : ciężarny cokół,
ważę ciało, którego już nie mam,
i rozkładam się — paruję — w poemat.

Po raz pierwszy raniłem cię, matko (*mamo*),
29 września w południe.
Był to śmiertelny pocałunek w łono.
Niezatrzaskniętą bramą
wymknął się narodzony
obłudnik —
i gdy spojrział zza dwunastu lat
na sepleniący ścieg dzieciństwa,
niezabliźniona rocznica
zgieła się nad nim jak kat.

Potem już było łatwiej łązy przez rymy kuse przemycać
i niańczyć własną litość w wyścielanych zwrotkach :
ale tamta pieczęć wypalona
w twoim żywocie
jeszcze teraz poza śmiercią kona
i w cytatach obosieczny (*Ezechiel 44*) spada jak pocisk.

Jak rzutować zbrodnię urodzin
na dzwoniące piętra jurnych godzin ?

Przyszłość
to tylko
wyobraźnia

na rusztowaniach wróżb.
Im wyżej, tym chwiejniej.
Zawroty głowy po każdym piętrze

Na lęk metaforycznej przestrzeni
cierpisz, słowoskoczku, błaznie,
obludniku, dzierzawco łóż,
w którychś się poetycznie lenił.
Plusz, (*plusz*).

Pępowiną śluzowatą przywiązany
do klechdy jak do niezakrzepłej rany
wspinasz się w przyszłość po wyobraźni.
Z pępowiną bezpiecznej i raźniej.
(*Matko, Antygono niepogrzebanych rocznic!*)

A gdzie — jak szukać Wielkiej Metafory ?
Skąd — z jakiej na nią rzutować skoczni :
w poprzek rusztowań i cięciw — w Boże ugory
Skąd (*puszka*) runąć w Wielką Metaforę,
zaryć się w wieczność (*puszka*) martwym meteorem ?

Cierpliwe kamienie na drodze do Dobrzynia,
święte kamienie przydrożne.
W pielgrzymim kurzu osty nabożne,
i szalej w rowach, co czary odczynia
głupcom wypuszczonym prosto ze śpiewki
na wolność drwin.

Płaskie nosy, spłaszczone pod ciśnieniem pokoleń,
rytm indyjski klechdom na rozgrzewkę,
od zaśpiewu zatoczył się gmin —
zanim jeszcze zorał pniaków pole,
zanim pierwszą barć wypuścił w dzierzawę
wędrownym pszczołom.

I oto w tym zaśpiewie tak teraz przestronno,
że zapraszam murzyński bęben na zabawę,
że mi stuka dziobem swojskiego dziecięcia
rytm brazylijski, że krew zabobonna
mniej rozgrzewają greckie dytyramby
niż barczyste oberki i biodrzyste samby.

Krew z nóg do uszu jak prąd,
krew nosy płaskie rozdyma :
odwar z szaleju: wyszumieć oczyma
fermentującą genealogię.

A cierpliwe kamienie i osty nabożne
doprowadzą waszą drogę
moją
do ujścia śpiewki słowiańskiej
w dwuwymiarowym echu.

Stamtąd może nie trzeba patrzeć w metaforę
jak w ezechielową bramę, w pierworodną zaworę
grzechu — — —

Stamtąd
(*kiedy umarłem*)
spoza
kiedy

przez lornetkę oddalającą (*szkło*)
na szynach trumna jak na płozach
i słońce pomiędzy —
wklęsłe dno :

lina na grdyce trumny —
pępowina z przędzy :

jeszcze jeden uchwyt (*cokół, postument: w dół*)
wokół liny jak wokół kolumny
obrót skojarzeń : szybciej : aż rozum się spruł
i wypatroszony z czasu
spadł (*rzutowanie*) : po na niech
za przy że

sylaby z zasuw
ześlizg ukośnych krech

nie.

Tylko oczy pływały po środku wyobraźni
(przyszłość) oczy wewnątrz wyobraźni
niewyłupane z orbit wyobraźni
niezakopane tam pod :

lina przy grdyce trumny —
ześlizg zeskok kolumny —

Od
od
od zająknięcia
od pierwszego zająknięcia się sensu
oczy nadają (nadawały) oczom
(będą) oczom oczy
sygnalizować światłowzięcie —

Bóg w sygnałach rzutowany odpoczął —

światło pomiędzy jak przęśło
oparte przejrzyscie o dźwięk

Glob w pokrowcu : obsyty dźwiękiem.
Niżej mózgi — potrzaskane odbiorniki.
W sygnały włączył się jęk.
Ze śmietnika wyciąga głuchoniemą rękę
trup dziecka. Matko, w tę nadawczą tykę
uderz ! — i różgę zasadź : z twej kary odrośnię
zeschnięty konar dobrego i złego.

Od oczu uroczonych czy w czas się ustrzegą
zbieracze czaszek i szmat
po obozach, łagrach i klinikach ?

Nachyla się dyplomowany kat :
grzebie w mózgowych odbiornikach.

O, matko zasadź różgę w krematorium Kreona
zanim ręka odrośnię żebrząca o karę
spod łazarzowych szmat, z trzewi śmietnika —
o karę, która płodne pieczętuje łona
i zeschniętym wytrząsa konarem
światłu w twarz dźwięku.

Choć nikt z sygnałów nie wyłączy jęku,
niechże nadaje mózg wróżby, rzutując

poprzez krematoria i łagry, na przekór
zbieraczom czaszek i szmat, pomimo
zaprężonych w orderzy prazbójów.

Roztrzaskana jak czerep metafora wieku
niech się pnie choćby po pętłach dymu
ponad piec makabrycznie uszczelniony
swądem —
w teksty gwiazd wykropkowane,
w komentarze świetlnych liczmanów —
aż pufnym porażona prądem
rozpadnie się na sylaby
pokornego zachwytu —

bo boże że bo aby

oko oś kół
w dół

rzutować
okiem
w przymrużenie świtu

(kiedy umarłem)
dzień (jak ze szkła)
noc

przejrzyscie od dna do dna :

bliżej
czy
dalej :

pola pasiaki pękły posypało się pierze

biodro o biodro (rytm podkuwa podeszwy) szal szalej
szal
zmysły wypatroszone z : zmysłem zmarłym pochwałę

(jak) oko : uroczonym więc zabić pacierzem
ezechielowy cytat na piecu w krematorium :

całopalenie czytaj światłowzięcie
czytaj (tekst gwiazd wykropkowany) plusz na alegorii :
zamarzają słowa — odbiornik w bezgłowym postumencie —

sygnał : a (o)

p
pokora piękna

w

wyrozumiałość wobec

w warkot warg

w

Boże żyła w widzeniu pękła
ślepnie śmierć (.... s-skarg)

.....u
..... błagać o byle bełkot

.....
bo byłem

..... będę

by

..... (tędy)

(i

..... jak oko pawia.

Zamknąć nawias

Chelsea, 1950

MODLITWY INTELEKTU

ZAMIAST WPROWADZENIA

Sercem.

Czy tylko sercem ?

W ckliwy cudzysłów uchwyciwszy werset,
Polak do końca cytatu nie dożył,
umarł na udar pobożności
wśród zakurzonych biblii : po swojsku — nie można prościej.

O, odświętny, doraźny Boże,
którego nawet chłopska poklepuje gadka —
(jezusiczkowe zapanbrat)
patrz, od statui do statui
prowadzi modlitwa tak gładka,
że serce, czując za milion, nie czuje
samego siebie.

Proces skraplania uczuć : zagasi mózg jak ogarek,
ktoś potem razem z czaszką mózg pogrzebie
zanim zdąży zapytać o wiarę.

PODCZAS SPACERU W MIEŚCIE

Ni to słowo, które obok przeszło
cień mój minąwszy ;
ni ten uśmiech nazębny wśród zmierzchu
jak emalia świateł na chodniku.

Choć miasto jest pełne dotyku,
tylko potrąca
słowem, mijanym na zakręcie rozmowy ;
uśmiechem, nałożonym niedbale
na gest, na myśl wietrzejącą.

Spaceruję na wyrost : serce w futerale.
Śliski uśmiech domów, jak kart w tasowanej talii.

Uściśnij krzyż przy kościele zamszową rękawiczką :
nie zaboli zardzewiały zgrzyt.

Potrąci tylko Bóg : błysnie spod emalii.

PRZED ZAŚNIĘCIEM

Teraz właśnie, kiedy stuokienną
otwieram czujność —
sam jeden na wznak w ciemności —
ciągnie od gwiazd : aż wdycham przeciąg.

Gdyby Bóg sobie myśli wymościł
czasem człowieczym, co wie jak się męczyć...
(bank łask masz z męki, snem spłaczasz lenno)

Wieczność to chyba bezsenność.

PODCZAS BEZSENNEJ NOCY

Czy i On czuwa na cześć ciszy,
aż dzwoni w myślach pustka —
sam jeden poza współczuciem ?

Bo bezsenności Boga nie słyszy
nawet spłowiła Weroniki chustka,
na której wargi nieme już, a oczy ślepe.

Czy zdjąć odciski snów z sypialnych płócien,
czy zasnąć raczej : być bezkrwawym skrzepem —

Z POCIĄGU MURCIA — GRANADA

Echo zawołało
prosto z zaschniętego gardła
dnia
i rozpadło się jak wiadro spaczone.

Pociąg właśnie wpełzł pod cienia załom,
za którym pustynia blask na roścież rozwarła —
i echo popękane wykrztusiło : *plone !*
plone jak prorok !

Pociąg w wiadukcie umknął palmom jak upiorom
i nie dosłyszał echa z dna zeszcłego dnia :

głos wołającego na..

WIDZĄC BOHOMAZ W KOŚCIELE

Tu nawet słońce się sroma,
pęczniąc na bezwstydnym farbie.

Ktoś bez opłatka wizji w kaloszach dewota
włożył łysiejącym pędzlem wprost we pstry bohomaz,
i na Golgocie jak na jucznym garbie
anatomiczne pozawieszał wota,
napłuł w twarz Chrystusową dokładnością łezek
tkliwych od lśnienia.

Jezu, jak cię wyzwolić z chamskiego więzienia
wyspowiadanym wzrokiem, patrzącym pacierzem,
który by każdy kolor w komunikant przemieniał —

UCIEKAJĄC PRZED WZROKIEM ŻEBRAKA

Nie człowiek to, ale brodaty
przystanek.
Przystanek łaski.
Obok niego przejeżdżają raz po raz
twarze na kółkach oczu i patrzą zza kraty
zmarszczek, lub spoza firanek
porowatego pudru.

A jego ręka z prośby wystaje jak morał
w przejrzystej przypowieści.

Brzęk rumieńcem monety. Lecz wstydu nie zmieści.

WOBEC KOLIZJI ŚWIATEŁ

Kiedy się zderza z promieniem lustro
i sufit pryska,
(Jezu)
nagły Jezu ze zderzenia, z rozbłysku —
jak amen w świetlnym pacierzu.

Rykoszet jeno, a wierzę;
wykolejony blask tylko, a cud —

bo sufit się rozprysł w kopułę,
lustro z odbić śpiewa jak z nut —
czułe (Jezu, tak nagły!) czułe...

GDY ROSNĘ WŚRÓD KSIĄŻEK

Obłożony tymi cegłami
jak krzak o stu oczach,
przez szpary w druku
przez pęknięcia
jeszcze oddycham.

(Rzęsy niemal zalepione farbą,
kleisty mózg — żelatyna nie marmur :
jak rysy kuć w pamięci, kiedy nie obsyca —)

Ty, który zamurujesz nas żywcem
tomami bez cementu,
który farbą zimną wypalasz źrenice —
wiesz, że zadusi się krzak nim spamięta
szpary sekretne w hieroglifach, nim zliczy
własne liście, a na liściach nerwy,
rozwidlone w labirynt, rosnące bez przerwy.

W AUTOBUSIE: SIEDZĄC OBOK STARCA

Jakby podróż między latami !
Autobus rozwozi pośpiech,
nerwy,
gniew.

Siedzę naprzeciw okularów : skąd wzrok ukradkiem kłamie,
że zna na pamięć zieleń drzew.

Między ławkami neutralne przerwy :
międzywiersze niezaczątych rozmów :
niemal słyhać jak kłamie spowiedź okularów.
Zza szyb ukłony drzew : zielone pozwól,
a u zakrętu : spójrz.

Przedemną oczy (ukradkiem) wiozą starość
w obojętnym kolorze.
Wiara wyblakła : szkła za mało wklęsłe,
żeby Boga choć zmysłami widzieć.

I gdy oczom jeszcze nadskakują rzęsy,
już zmarszczki płaszczą się przed śmiercią : brzydzi,
o, jak brzydzi pogodzona ze śmiercią siwizna !

PODCZAS NAGŁEJ CISZY W ROZMOWIE

Kamyk spadł w studnię.
Jeszcze spada.
Oczekiwanie plusku.

A potem będzie trudniej
ten plusk próżni pod zdaniem zagadać
i na fotelu siedzieć jak w epileptycznym wózku.

Może znów rzucić mimochodem
słowo wypolerowane
w niczyją studnię —
i nadśłuchiwać jak ścieka spodem
w syczące od próżni krany,
w bezludnię.

W fotelu ktoś obcy łowi moją obcość w milczeniu.
Ramieniem jak wędką koła kreśli na własnym cieniu.

WSPOMINAJĄC PIESZĄ WYCIECZKĘ DO CZĘSTOCHOWY

Nie widziałem twojej twarzy
wyrzeźbionej z betlejemskiej skały,
ani na jawie w cud biały
zachwyty moje nie widziały
łez kapiących ze złocen ołtarzy :
choć dziecinstwo modlitewne
dzwon skępski jak anioła ważył
ponad procesją powiewną — w Siewną.

I nie wiem po dziś lęk,
Chrystusie,
jaki mi w górze skraplasz dźwięk,
by słuch niewierny odeń zmięknął
i szept siana poczuł na obrusie,
bym, chleb dzieląc, podniebienia nie skusił
do zmielonej muzyki szczęk.

Szesnastoletnia wiara też ślepa,
ale zawiodła
po łągowych wertepach,
po przepaplanych modłach
do Ciebie, któryś z wieży schylał się jak z siodła
ku sercu, ku strzemieniu spuszczonemu w przepaść.

I że nie widzę, może nie zobaczę,
zmysłami nie dotknę nawierzchni znaczeń
skupujący z drugiej ręki rozpacze —
przywróć ślepotę raczej
przedwcześnie wybujałej wierze —
Ty, który osiodłałeś tamtą w skoku wieżę.

WOBEC MIGAWKOWEJ POKORY

Ach, ta zakłamana skromność
odbić — bez zmarszczek — w kałużach,
po których deptać nie warto.

Ukłon gałęzi : lecz gałąź ułomną
woda ledwo w odbiciu zanurza.
Nad kałużą, nad kartą otwartą
stać — po co ?

Pokorę Bóg zakleja na siedem pieczęci,
a każda pieczęć dawidową procą :
gdy strzelisz z niej — wywróci się w wodę Ararat.

O, tchórzliwe odbicia kałuż : nie odbicia, lecz zdjęcia,
migawki, które prztyka słoneczny aparat.

ROBIĄC RACHUNEK WSTYDU

Podszedł pies do mnie wczoraj — i patrzył :
pytał jakby czy nienawidzę
sierści mokrej, nawilgłego nosa —
i odszedł niepogłaskany
wzrokiem, co się zaplątał
przy bucie w prętach ławki.

Dawniej (kilka sumień temu) pytały oczy ludzkie
o to samo.
Nienawiścią opięci jak mundurem
Nazarejczyka wypędzaliśmy razem z kramem,
ale nas spotkał przy prętach luf, pod murem
tym samym.

KIEDY RADIO POMYLI STACJE

Niespodziewanie :
niespodzianie
fala skręci w bok — i na membranie
głos się spłaszczy jak twarz za szybą.
Lepiej jej nie odlepiać :
aż odcisnie sygnał.

Może był wylew znowu. Ktoś z rajy dźwięk wygnał.

IŻ LĘKAM SIĘ WYGODNEJ WIARY

Weź próbkę własnej wiary
pod byle soczewkę :
pod rozczarowanie choćby,
a zobaczysz bakterie jak szpary
przekreślające prośby —
każdy ich zarys —
na skos na skos.

Nie chcesz soczewki ? Wolisz wierzyć płasko
w teleskop Boży, gdzie szkło nawet łaską —
(?)

NAD PIOSENKĄ DZIADOWSKĄ *)

„A ty żaczku uczony
krzyżem w górze znaczoney
powiedz co pięć ?”

Zatrzasnąć rym, aż się rozlegnie !
i po zwrotkach zbiec w dół : pieśń się zegnie
i własnych dotknie stóp —
„Jeden Syn Maryi
co w niebie króluje —”

Z powtórzeń coraz wyższy słup,
rym na rymie : aż wije lilije —
„Pięć ran cierpiał Pan,
a ty żaczku... powiedz co osiem —”

W ślepym cieniu dziadowskiej pieśni,
w klasztornym średniowieczu odpustów
ktoś mi lata jak rymy roznosił
po to pewnie, abym dojrzał wcześniej
do siedmiu pytań chudych
i siedmiu tłustych.

Nim powtórzyłem wstecz pięć ran i listy
Ewangelisty,

*) W Skępem dziadowie śpiewają średniowieczną pieśń, która składa się z pytań i odpowiedzi: diabeł zadaje w niej dziesięć pytań pobożnemu zakowi. Po każdej odpowiedzi trzeba powtarzać poprzednie: śpiewać wstecz.

potknąłem się o lilię z odpustowej budy
i echo zbiegło samo w dół piosnki beze mnie.

A ty żaczku uczony... powtórz pieśń, lub przemień.

SŁYSZĄC STRASZAKI WIESZCZÓW

Walczyć z Bogiem ?
w słowach błazniń podszytych wiatrem
metafizycznym —
żeby sobie postrzelał patos ze straszaka
mydłkom dewocyjnym na podziw ?

Sercu lepiej leżeć odłogiem
na skraju trwogi dziedzicznej,
lepiej mózgowi pełzać na czworakach,
niż na szczudłach wysmukle chodzić
tyłem do własnego cienia.

Wyżej sięgać. A jak wysoko ? —

na wysokość kostek od poziomu cmentarza,
gdzie Bóg błazeństwo każde na miał niczyj przetwarza,
gdzie patos, gnijąc, strzela w dół: i nie głęboko.

Chelsea, 1950

SIELANKA STOŁECZNA

Poetyckiej pamięci Bartłomieja Zimorowica.

TAK TO DO TAKTU turkotom wiatr wwiął w sam środek
[sielanki

Londyn, owce i Jana: wzdłuż granic turkotu przystanki,
na których autobusy rytm wybijają: ogrody —
już Kensingtonskie Ogrody wiatr obsiał, na nowo obsiewa,
gdzie owce jak wianki wełniane uplotły się same przy drzewach.

Jan, pasterz Zarządu Miejskiego, (równe sześć funtów na ty-
[dzień —)

z zawodu zawodów emigrant, pamięcią osiadły w Lidzie,
nauczył się liczyć owce wedle wiatru, drzew i szylingów.
Choć bez paszportu, ma wizę do podziemnych krain dancingu,
gdzie Phyllis, (w pra-echach rymu Philida nadobna!) gdzie
[Phyllis

z neonów wychodzi naprzeciw, wśród brzęku jazzowych motyli.

I tu tak także do taktu
jak to tutaj do taktu —

bęben jak tęgi aktor
wybija rytm na swym brzuchu —
(do taktu bębenek w uchu)
tak to tu także wiatr wwiewa
z wentylatorów wprost w drzewa
wycięte z dykty —

(Londyn, Jan, owce — jak tryptyk)

przewiewa dancing w sielankę,
z ust do ust bez ustanku,
że tylko tyle:
„Janku”,
„Phyllis...”

OD SZÓSTEJ RANO w Kensingtonskich Ogrodach
Jan pasie owce.

Chmury się pasą na drzewach,
a wiatr na trawie:
drzewom i trawie przygląda się woda
i każdym odbiciem ziewa,
więc nuda naddenna na stawie —
(tak samo saksofon ziewa: jazz od ziewania się dławi).

Ale Jan w wełnie owiec i w strzyżonej wełnie muzyki
dotąd świat czuje na poprzez
dotykem.

O czwartej po południu z parku
wymarsz cieni, chłodu i owiec.
Jan, pasterz miejskiego folwarku,
przechodzi ulicę po przekątnej turkotu
wzdłuż światła, co jak oczy krowie,
zapatrzone w zielone odbicia,
w kałuże świetlnego potu.

Gotów?
Do wodopoju, do piwopicia?
(Owczarnia na Notting Hill.
Odlicz wełniane pagórki. Bekliwy dryl).

JEST BAR MLECZNY na skrzyżowaniu
kleistych woni
z jadalni, browaru, apteki —
gdzie krowy na ścianach żują radiową trawę
dzień przedtem zżętą z gramofonowych płyt.
Czasem drzwi szklane wyciągają dłonie
i co błysk doją światłem lakierowane wymiona.
Po drugiej stronie cennik udojom wystawia kwit:
po pięć pensów od szklanki
poziomkowej mieszanki:

Phyllis zamiesza. Z niepokalanego łona
lodówki zamrożona podnieta —
gdy z boku automatyczna kasa połyka metal
po sześciopensie, po pensie —
cennikowi niememu do taktu :

tak to —

tak to —

Jan tu patrzył w swoje sielskie szczęście
poprzez rzęsy, unoszone uśmiechem,
poprzez rzęsy z trzepoczącym niechaj,
niech Phyllis, niechaj...

(w kasie rytm wybijają pięści śliskie : po pensie, po pensie)

„Więc o siódmej na dole przy szatni.
Dwie orkiestry.
Tropical Band”.

Aż nagle dialog w geście krótkim się zatnie.
Niechaj. I jak z wentylatoru zawiew w mózg. Przestrach.

SPIEWA PŁYTA NAGRANA od rana w mózgu,
śpiewa Jan:

„Osiały pamięcią w Lidzie,
ja, znachor zakrzepłych ran,
emigrant z kraju przekwitających oczu,
widzę
jak się motyle jazzowe trzepoczą
nad Phyllis moją, jak nimfie Philidzie
z baru mlecznego przy Notting Hill
Tropical Band gra hymn co tydzień
pośród palm z dykty.
Przeto ja, zbieracz spojrzeń, poławiacz sielskich chwil,
wielbię londyńskie wirydarze,
i mleczny szmer lodówek w barze,
lecz ponad wszystkie muzyką wymyte twarze
wielbię Phyllis, gdy w dancing zstępuje po schodach
przyglądając na włosach jazzowe motyle.
O Phylli moja, Phylli !”

Nic tak na rymujących szalach
nie drga, jak przeciwpieśń rywala,
co pochlebstwo o zazdrość pociera
i rym z nich krzesze.

TAK TO BYŁO w święto bankowe, gdy na czerwonych ogierach
konduktorzy wjeżdżali do remiz. Piwne depesze
wiatr wysyłał od baru do baru. Kolejki
przed kinami, przed świątyniami herbaty,
w których naczynia osobliwego nabożeństwa
o obtłuczonych brzegach brzęku.
Potem procesje po parkach : słońce broczy tamowane wata
obłoków. Baby obłe w objęciach. Lgnie gzi się gęstwa
wzdłuż tyraliery gapiów i drzew. Na przełaj — po łbiskach
po stratowanej trawie ! Potratowane wargi. [pieńków !
Lgnienie. Gawiedź przynagła. Rytm odbijany piwem.
Bek z gardła jak korek : burczą brzuszne przetargi.

O, święty Banku, sierpniowy patronie parków,
każ wyjść Tomowi z remizy z sielską fujarką,
albo z radiem przenośnym. Naładowana bateria.
Podbrzusze naładowane żarem. Za kafeterią,
wśród kasztanów dożynki pieszczot dojrzałych.
Dziwobranie. Piwospyw.
Świętemu Bankowi na chwałę.

Tam to Tom z Phyllis także. Cieniem obrośły,
radiem połechtywany
krzesze konduktor-kochanek
rym po rymie z zazdrości o Jana,
z pochlebstwa pobudliwych posług.
„Phyllis, pocałuj !”
I nim się kark od żaru podbrzusznego zajął,
już w przeciwpieśni Tom
grom wypuścił ku słonecznym szkłom :

„Ja,
narowistych ujeżdżacz autobusów,
pasterz pierzchliwych pasażerów,
biletów przecinacz biegły —
tuszę

iż
za lat ileśtam zostaną kontrolerem
i kupię dom ze żółtej cegły,
dwie mile od remizy,
w Chiswick —
gdzie Phyllis, ach! Philida moja —
po piwopiciu, u radiopoju
będzie mi niańczyć każdą sobotę,
grzejąc się kotem.
Dziś przeto wielbię donośnie domowy dosyt,
gdy Phyllis mi pocałunki wpina raz po raz we włosy”.

Tom się przeciągnął, przegięła się Phyllis.
Przeciągnęły się kasztany w poprzecznym przewiewie.
Papiery poderwały się z trawy na chwilę
niczem zmięte latawce.
Na niebie obrzękłym noc — jak wielkie niewiem,
pod nim księżyc przysiadł się na ławce.

NIE WIESZ GDZIE

gdzie była —
nie.

Skroń czeka rozpięta na żyłach,
czekają palce w kieszeni,
plac za plecami — zasieki z cieni —
w obstrzale ulic ruchomy front.

Skąd?
Przyjdzie skąd
kiedy —

Godziny zapalają się i gasną w oknach.
Zasłony kolejno: kurtyny po krótkich aktach.
Tak to. Jak? Jak to —
Deszcz goły przegalopował przed Janem. Gzymsy mokną.
Zacieki świateł na jezdni.

Wtem Phyllis przy drzwiach: klucz przekręca ciszę kamienicy.
Jan przeskoczył jej wzrok i pytania, gniewowi skoczył do gardła.
Noga w drzwiach: „Puść!” — aż sień się w skrzeczącym echu
[rozwarła.

I trzask. Jakby z zawias wyważył ktoś całą ulicę.

„Chodź na górę.
Cicho. Schody skrzypią”.

Bez słów, tłumaczonych na łyzy, bez lęku
Phyllis mu rozesała noc jak śniadą skórę
na tapczanie przy sierpniowym okienku,
gdzie warta gwiazd.

Sielanko czwartopiętrowa, jednopokojowa sielanko,
bądź budzikiem bezgrzesznym dla błędnych kochanków.

KIEDY JAN WSTAŁ, kominy jak dzbany dzwoniły słońcem,
piał każdy załom, rozpościerając smugi,
a mleczarz na dole przy drzwiach
karmił próg senny wprost z butelki.
Z dała w parku drzewa jak stalugi
opinały się cieniem, czekając aż w skrach
powiew po nich przejedzie pędzelkiem.

Więc w park!
Do owiec.
W szuwary szerokich szelestów.

Jak pochwalnie Jan, pędząc, wypycha oddech z warg.
Wiatr z poszarpanym rondem przekrzywił mu się na głowie.
Jak to ranek radosnego rozstania gna obok przestróg,
obok stalug cieniem opiętych,
naprzelaj — słońcu po piętach!

JANIE, TA BIEL, te plamy w parku:
pamiętasz ostrogi mrozu
skrzyste: chrzęst, chrupot na śniegu.
Z wieżyczki strażniczej alba obozu,
rozstanie głodu ze snem.
W tej tajdze miała śmierć sędziwych szpiegów,
elegię wiatr wwiewał w sielankę,
wiatr z biegunowych wentylatorów,
gdzie księżyc kazirodczym kochankiem
powietrza, głodu i moru.

Przez ulicę potok słoneczny.
Przeskoczyć.
Pętla powietrza na... Hamulce
podłużne — poprzeczne.
Zaryły się w ciemności oczy.

Jeszcze jeden obrót zmysłów na startej szpulce.
Śmierć.

O GODZINIE SZÓSTEJ minut cztery autobus numer siedem-
[naście

przejechał Jana. (Phyllis wychodziła właśnie z domu).

W barze mlecznym zamrożony aromat,
lakierowane wymiona,
lodówki niepokalane.

W trupiarni chłód balsamował Jana
przed wyprawą na biegun wieczności,
którego magnes przyciąga najodleglejsze kości
z pieczar, piachów, łagrów i trupiarni —
(ten sam pasterz dla każdej owczarni —
oswoiwszy, śmierć strzyże z sielanki).

Śpiewa Phyllis elegię kochanków :

„Który uśmiech twój i pocałunek
będzie straszył mnie w łóżku sobotnim
pod spiwionym oddechem męża,
nim płód pocznę na podobieństwo
twoje, mój miły ?
Który rytm się przypomni kolanom
na parkiecie, pod spoconą ścianą,
gdy saksofon z czarnych fortepianów
powyganiania przeboje umarłe ?
Ty jak ośc w nich — więc nie przejdą gardłem,
Janku —
(że cię zdradzę w zaprzyszłym wspomnieniu)
(żał na drobne kinołzy rozmienię —)
John dear —”

W Kensingtonskich Ogrodach wśród słonecznych odpadków
wiatr grzebał.

Tak to
to —

Chelsea, czerwiec-grudzień, 1951.

OSTATNI WIERSZ

1

Act One, scena pierwsza.
Przez podejrzliwy otwór w kurtynie
spojrzeć raz tylko w zakulisy wiersza,
z widowni spojrzeć o pustej godzinie,
kiedy widownią są oczy, a sceną
odbicie tych samych oczu
w oczach.

I światło rzęs na uboczu.

2

Tyle odsłon, ile pocałunków :
(*Mille, deinde centum*) :
za kulisami cudzych wierszy
po tysiąc, po sto — cyfry na rachunku,
pokwitowane pieczętą pamięci.

Tamte wargi z haftów ornamentu,
tamta pamięć ust jak pieczęci
na nic —
gdy oto każdy pocałunek
przepaść odsłania
i w ustach i pod ustami,
gdy mapa warg nie ma granic,
gdy zamiast cyfr — znaki zapytania

w głąb —
gdzie już ciało nie krzyczy ratunku.

Tyle odsłon, ile pocałunków.

3

Scena druga i trzecia i czwarta
myli odsłony; gmatwa się w fałdach kurtyna;
papierowa rola podarta.
Spadając na dno, pytać czy dnem: wina?

4

Między Aktem śmierci a Aktem stworzenia
przemyka się wieczność
tak wąska jak cieśniny
ramion, piersi i nóg
w podróży naokoło ciała —
wieczność bez map i kompasu
tak biała
jak sam Akt
jak ten wiersz jest biały
poza hipokryzją rymu
poza wskazówkami czasu.

Afrodyte,
która obnażasz zegary
z czasu,
która obnażasz winę
z klątwy i kary,
która wytrącasz płęć jak rozdwojone drzwi
z zardzewiałych zawiasów —
Ty, która jesteś Aktem sama w sobie,
między Aktem śmierci a Aktem stworzenia,
spływająca cieśninami krwi
po kataraktach
na krach rytmu po urwistych aktach —
wciąż niżej
w wytrysk zmęczonego zdumienia.

Dno Twej przepaści zawsze będzie szczytem,
Afrodyte —

5

Z powrotem trzeba rysy ułożyć na twarzy,
ubrać gesty na co dzień, ufryzować słowa.
Telefon: numer niemy cyframi pamięta
cudze oczy z paszportów, z zagranicy zdarzeń.
I świat stałby się pudlem i smycz by całował,
gdyby nie ta nieśmiałość na guziki zapięta.

6

Plotkarz, dowcipniś, impotent, wężyciel
na obrotowej scenie przedrzeźniają życie,
choć sufler mitów magię podpowiada skrycie.

7

Sylabizować magię aż po liter skraj
bo może to być magia dymu z papierosa
podpis na dymie siny pocałunku ślad
język potykający się o nagły nerw
ramiona pomnożone przez nogi
siedmioramienny świecznik pogaszonych zrad
magia ram wywołujących coraz to inny obraz:
anonimowa Afrodyte.

Lecz lęk, ten lęk liczący luźny liter skraj —
na magiczne guziki zapinane wiersze —
ostatni wiersz, w którym ślepnie i scena i sufler —
gdzie serce się dobija do niewidomych łez —
i gdzie lustro pamięci straszyć będzie duchy —

Część druga

WIERSZE Z LAT 1934 — 1939

1920

Biały śnieg chłodem skurczony na twarzy,
w oczach wiatr.
Koło sieni sypały się dzwonki pod konie :
czyjś przyjazd się zdarzył.

Mróz z klamki przeciekł w czteroletnie dłonie
w oczach zakwitł rozszerzony podziw.
Dzień był pół-zrozumiały a pół-przysypany
miękką pieśczołą matki z podwieczornych godzin.
Noce były opuchłe od strachów, lub puste
zamyśleniem.
Ciepłe od niepokoju ojciec odczytywał listy
już w sieni.

1934

ZIEMIA DOBRZYŃSKA

Cyranki z Chełmicy Wielkiej niebu nadały kierunek
i resztki ostrego słońca w dzióbkach przyniosły do gniazd,
dzwon dworski bił w ciszę niebieską.
Zwiędnięte liście echa spadały gdzieś koło stawu,
żegnane płaczem cyranek.
Po wzgórzach lipnowskich wiatr domy, niskie od świateł, gonił ;
na mostku szelestem płytkim heblował spróchniałe deski,
gdy zapach łąk ruszył ławą
z Fabianek.
Księżyc się odbił od wieży smutnego kościoła w Kikole,
z chmur ścierał stężałą noc.
Jak kretowiska szczekania psów się wznosiły na polach,
gryzły kół turkot na szosie.

Rypin.

Noc, wiadrem dźwignięta z studni, skrzypiała smętnie w żura-
[wiach,
na rynku pochód akacyj i lamp ze światłem jak z psalmem.

Tymczasem w jeziorze Świętem tłum chaszczy i łóz zakopiał,
podpełznął pod mury klasztoru i krzyczał, biegnąc przy oknach.
Gaszono po izbach lampy,
mrokiem zamknęło się Skępe.
Wtedy Maryja wyszła z cichego białą klasztoru,
z Dzieciątkiem na ręku szła wolno po rozmodlonych kruzgankach.

Noc się zgłębiała po rowach tajemną, północną porą,
miesiąc światłem srebrzystym kosił przy strugach łąki.
Dnia 10 lipca akurat nad samym ranem
chory na oczy młynarz zobaczył Marię w Fabiankach.

1935

SMIERĆ

Na krześle jabłko obrane ze skórki w zapach.
Na oknie futryny z chłodu.
Za oknem po kałużach deszcz człapał.
Niepogoda.

Skierski umarł właśnie przed chwilą.
Podwojony w lustrze pokój zakryto czarną płachtą,
Skierska zatrzymała ściekający po wahadle zegara dżdżysty czas,
w kuchni ktoś z trudem ciemność płonąca zapałką rozchyłał.
Chód razem z zapałką zgasł.
Na szosie z turkotu wozów — bruk,
gęsty deszcz — jak płot wokół domu :
sztachety ze smug.

Płachtą zakryte lustro twarzy trupa nie odbije na szkle.

Stojący zegar był brzegiem czasu,
poza nim wieczność.
Bez lustra i zegara było bardzo źle.
Sołtys we swąd żałobny gromnicę zagasił —
Dzieci dotąd spokojne i grzeczne
bać się zaczęły nagle widma wilkołaka.

U Skierskich zaczęto płakać.

1935

BAJKA O CZTERECH BRACIACH

Żyli sobie czterej bracia — pewno w Bogucinie —
jeden w oczach niebieskich nosił cichą tęsknotę,
tęsknotę.

Drugi brat z wierzb przydrożnych fujarki wciąż lenił —
chyba z tych pełnych wiatru przy studni, za płotem,
za płotem.

Trzeci brat świstem z zębów płoszył krowy łaciate —
na pewno Szlomy Panstra z łąk mokrych pod lasem,
pod lasem.

Czwarty brat na stodole miauczał z czarnym kotem —
pewno z tym od Szymczaków, co śnił mu się z poddaszem,
z poddaszem.

Żyli sobie czterej bracia — pewno w Bogucinie.
Wszyscy czterej mną byli, wszyscy czterej mną żyli,
mną żyli.

Napisana w 1934 r.

PROWINCJA

(fragment)

Kartoflami stęchłymi pachnąca w wilgotnej sieni,
cicha jesieni,
wejźdź po schodach, wlokąc tren z szelestów,
na strych.

Lipno wypukłe dachów czerwienią
i śnieg gołębi nad kościołem.

Rynek już ścichł,
na werandy wychodzi wieczór.

Wozu złociste koła
między szprychami obracają słońce.

Przy ścianach bose dzieci,
a liście klonu

wiewają na wiatr, lecąc.

I niebo wysoko leci
smutnymi kluczami żurawi.

Na oplecionym przez zachód balkonie
kucharka Madzia załamała dłonie.
Niech ją jesień ze smutku wybawi.

Jesień siała spokój pajęczany,
krzewy obute w wilgoć
kołysały niebieski Kikół.
Mgły pospinały drzewa,
łowily kształty wsi leciutką siatką.
Noc o grubych, ciosanych ścianach
znad jezior niosła kaczek sine krzyki.

Pod Fabiankami,
w bagnach, na trzciny wysmukłym szeleście
chygotała się zielona baśń.

W Zbytkowie
barwne smugi weselnej muzyki :
oberek wszedł ponad wieś łuną,
dołem jeno smyczek miedze pieścił.

Pod Dobrzyniem w lesie przemykały płaszcząc się króliki,
reflektor pociągu zamek golubski strącił w odbicie do Drwęcy,
brzegi zadrgały.

Deszcz nad Rypinem,
dachy czerwone pogasły z sykiem
i jeno płomyk latarni u węgła klęczał,
rynek oddalał.

Świętosław usnął w żalobie.
Chmury zwisały ze strzech.
Obok
Działyń
ujął się mocno pod boki,
z orkiestry prysnął śmiech ;
z okna na steczkę,
z steczki na drogę :

Poleczka !

Kiedy księżyc zawisł w ciemnym sadzie Chacińskiego,
głupi Adam szedł przez wieś z księżycem na plecach,
księżyc sypał mu przed boscami nogi
srebrno-żółte i niebieskie blaszki.
Staw miał wtedy pięć podwójnych brzegów.

Głupi Adam gadał cicho z Bogiem
i nie słyszał skaczącej poleczki.
Widział w sadach jak grusze i wiśnie
przywdziewały bufiaste kiecki,
kształty wiatru rzucały ukośnie
w murawę.

Adam chodził po głuchym cmentarzu
i liczył zielone łyzy klonów.

Stare groby jak szerokie ławy ;
siadał na nich i wyciągał ręce.
Równo w ziemi oddychały dzwony,
wkłęśła wilgoć śniła się sadzawką.
Adam widział cztery kaczki i ryby,
więc żuł chichot w swych szerokich ustach.

Z kałuż zwolna otwierały się szyby,
na szybach huśtał się cień żywopłotu.
W dłoniach jeno wiatr i śliska pustka,
cichość w piersiach tłukła głuchym młotem.

Środkiem pola pędził głupi Adam,
niósł drewniany krzyż we płachcie świstu,
między nogami plątały się cienie,
Działyń z okien światłem cierpkim gadał,
nad chatami zwiśło niebo dżdżyste.

Wtedy Adam na krzyżu drewnianym
ujrzał cicho płaczącego Pana.

Dźwięki polki chwytają się za szkliste ręce,
wirowały wokół chałup,
po tych dźwiękach jak po barwnych kwiatach
szedł Wiśniewski, pełniąc wartę nocną.
Przed nim w stawie dom sołtysa klęczał,
cienie płotów powoli pływały,
niczym wielkie liście nenufarów.
Nad cieniami kwiaty dźwięków skoczne
rozkwitały i zwijały się w echa.

Szedł Wiśniewski i ciężko oddychał ;
z piersi bury dech w krwawiącej ślinie
na rżących płucach ciężko leżał.
Szedł Wiśniewski i szły wierzby dziewczyny,
zapłatając w dżdżu gałęzie jak włosy.
Kijem w ciemność raz po raz uderzał
i wypuszczał oczy za wieś jak gołębie.
Na zaoranych polach chłód szary i bosy,
w górze cisza wisi szarym jastrzębiem.

Rolo —

Rolo —

Sierpc,
godzina trzecia po południu.

Krawiec Olszak otworzył okno.

Było cudnie.

Nad podwórzem świergotały świecące anteny,
w oknach stały białe firanki,
a w pokoju na piecu zapach owocowego wina
drgał od turkotu jadącej furmanki.
Na łóżku lenistwo białych poduszek,
o które wspierały się zmęczone, krawieckie oczy.
Nad poduszkami obrazy : afrykańska susza
i młyn z młynarzem i słońcem.
Wśród ram czterech świat inny, kamieniejąc, spoczął
i odbijał się w tremie wysokim dzwoniąco.

Szyby napięte blaskiem rzeźbiły na ścianach nowe szyby
i otwierały je płytko w pokój.
Wtedy z otwartej szafy zapach naftaliny
spływał po wiatru okiennego stokach.
Raz po raz wychylały się z kaktusów zamorskie krainy,
a z parapetu uśmiechy czerstwych pomidorów.
Potem znów przeszło po suficie mdłym zapachem wino,
znikając w utkanych z szelestów firankach.

I tak ciągle. W południe, wieczorem
cichy świat stoi u matowych szyb.
Gdzieś w zamyśleniu mebli mijają wątłe dnie,
monotonnie rozwijane ze sprężyn zegara.
Czasem coś się przypomni w duszącej woni lip.
Gałęzie się wydłużą nagle w wieczność szarą —
może to śmierć — kto wie ?

Jak dziwnie jednakowo płynie zegar senny
środkiem ściszonego meblami mieszkania,
a nocą puka kształtem serduszka do okiennic
ziemska miłość, zaczęta w wróbli świergotaniach.

Tak strasznie jednakowo chodzi wzdłuż milczących mebli
codziennie jednakowa codzienność jesienna.
Zegar, cykając, pnie się po nieznanym szczeblach,
lecz tak jakoś spokojnie, lecz tak jakoś sennie.

Naokoło domu w drzewach wiatr zaciska pięście,
w środku pokoju — szczęście.
Początek dnia, utwierdzony w okiennej ramie,
wchodzi w spokój, nazwany czterema ścianami.

Sierpc,
godzina czwarta po południu.

Krawiec Olszak drzemie na pulchnej kanapie.
Twarz, nakryta cieniem doniczki, zdaje się że chudnie.
Olszak zamyka oczy i słyszy :
czas po szeleście liści lipowych kapie,
chmury zginają lipy, wisząc.
Gałęzie przeświecła niebieskość,
a w perspektywie dachów obłoki jak białe wnętrza,
na które na pewno patrzy z balkonu Tereska
i zachwyty ku niebu podnosi zgiętą ręką.

W podwórzu słysząc katarynkę.
Kręci się na korbie cicha melancholia,
a dzieciom ścieśnia ciekawość
różowa papuga z daszku katarynki.
Ślepy katarzyniarz stał w nicości mgławej
i czuł świat kształtami melodyj rozwitych.
Dotykały go długie dłonie tanga,
w mroku wzroku oberek żywym rytmem świtał.

Tak samo krawiec we śnie widział barwne wstęgi.
Naokoło uszu melodie skrzypcowe jak surowy jedwab,
na powiekach ciężko legł świat.

Pierwsze sny odemknęły wieczność.

Sierpc bladł.

Zaczął padać deszcz.
Ziemia stawała się węższa.

Na piecu w gąsiorach pachniało owocowe wino,
od mrocznego deszczu meble były tęzsze.
Dużymi kroplami spadały z zegara godziny.

Deszcz omiatał wsie i drzewa z kształtów,
pod noc wzmógł się w ukośnym locie wiatru,

ślisko po szosach przemykały auta,
nad polami gęste mgły jak Tatry.

O szóstej godzinie
deszcz zadzwonił w Drwęcę.

Staął w Dobrzyniu.

Szyby zamknęły dzień,
blaskiem lamp się zaczęły męczyć.
Nad stołami dostojne kolacje.
Para z talerzy poszerzyła obrus.

Z talerzy zgarniano łyżkami szklane dźwięki.
Matka z powagą półmiska na rękach
stała jak kapłan.
Obrus — ołtarz,
para — kadzidło.

Niskie spojrzenia dzieci tuż nad stołem
zganiał jasny krąg lampy w ułudę skojarzeń.
Ojciec akurat wtedy nóż topił w powidłach,
gubiąc lśnienie.

Dookoła
mistyczne ręce w łyżek mieszanym gwarze,
a na cytrynie w herbacie kwaśne cierpienie.

Bociański naniósł do myśli dużo różnych światów.
Rozmowa o religii, o mięsie, o deszczu.
W górze się sufit w blaski sponad lampy splatał,
jasnym trójkątem wrzynał się poprzez drzwi w kuchnię.

W kuchni płonęło czerwone, suche gorąco.
Kucharka grzała dłonie.
Dłoń nad ogniem od ciepła puchnie
i zdrętwiałymi palcami w przegub ręki się sący.
Nad garnkami i w garnkach wonie,
które obiegają chciwe oczy kota.

Gdy zegar dziewiątą godziną wieczór ku snom zbliżył,
w salonie
samochód spoza okna przemknął cieniem płotu,
a Bociański, patrząc w pustą szklanę,
poczuł obłądny lęk.

Deszcz chłodził firanki.

Dziwne myśli szły do głowy panny Leokadii,
gdy ujrzała u Bociańskich kolację.
Cóż, że z głośnika zeszło melodiami radio?
Cóż, że za oknem szemrały akacje?

Pannie Leokadii było bardzo smutno.

Pustką wiało w jej życiu mdłe staropanieństwo,
a na twarzy żałobna woalka ze zmarszczek.
Serce często patrzy na Dobrzyń przez okno,
gdzie deszcz zarasta domy szarą, mgielną gęstwą.
Wargi, ucałowane tłustą wonią barszczu,
szukają na wieczornym przewiewie miłości.
Potem myśli bezwiednie chodzą po pokoju,
przystają przed zaschniętym w fotografiach sercem.
Nad nimi teraz tylko bibułkowe róże
w wysokich wazonach sterczą.
Wzrok się przez szyby w przestrzeń wydłuża,
niesie wzruszeniem podarte wspomnienia,
na wzrok deszcz pada i smutna pieśń z radia,

słychać jak kot się ociera o chłodny mrok sieni.
Sąsiedzi przechodząc, mówią : — Znowu płacze Leokadia —

W kinie jest dużo tęsknoty,
mrok zniża sufit
nad senną głowę,
a film w cudownych rozplotach
każe żyć ludziom odnowa.

Na ekranie kończy się Dobrzyń,
zaczyna się Capri i Paryż.
Panna Leokadia autem jedzie z Chevalierem,
aż oczy przymykają się od tego czaru.
Oddech w piersiach miłość drżącą otwiera,
miłość pnie się po westchnieniach ku wargom.

Morze, Capri, błękitne grotty —
i krzyk biały wzburzonej fali.

A potem
ile boleści żółtej przyniesie
światło na sali.

Ludzie wychodzą z kina,
kołysani pieśnią Chevaliera,
film się jak przeszłość na myślach rozpina,
kontur rynku Paryżem zaciera.

Drobne kroki panny Leokadii jak łyzy,
wargi dotykają chłodu,
w oczach jeszcze cichutko się tli
miłość wielka, gorąca i młoda.

Nie ugasi oczu deszcz o kształcie szyb,
ani miękkie ciepło na kanapie.
Przez okno deszcz przynosi jeziorną woń ryb,
w sen się roztopia.

Nie uspokoić niczym staropanieńskich marzeń,
nie odszukać serca w mdłej, jesiennej słońcu.
Leokadia przycisnęła do gorącej twarzy
miękką sierść kocia.

W Lipnie także padał dżdżysty deszcz.

Janek Słomski wciąż chodził po ulicy Gdańskiej
i widział pannę Basię, czytającą książkę.
Koło Basi w pokoju zwykły dzień mieszczański
kończył się na jej włosach fioletową wstążką.

Kroki Janka zgrubiały od lepkiego błota,
szły za nim korowodem jednakowych śladów,
brodate od deszczu płoty
na wzrok Janka pokotem się kładły —

Wieczorem, pełnym Rosji, zmarł stary pan Doktor.

Na lipnowskim cmentarzu
z pomników spoglądały pozaziemskie twarze,
a przy grobach wśród liści wiatr z nagle przyklekał.
Smutek schylał się cicho postaciami kobiet.
Madzia kucharka z matką wiodły środkiem ścieżek płacz,

w otwartym grobie
olbrzymi, czarny ból.

Nocą naokoło cmentarza chodził kondukt sztachet.
Na cmentarzu rosły bory rosyjskie
cerkiew kopuły.
Chmury jak czarne dachy
na gałęziach klonów ostre cienie kuły.

Matkę Madzi, gdy weszła na ciemne poddasze,
Doktor nagle sylwetą komina nastraszył.

Coraz niższe i mniejsze były dni od deszczu,
w błocie grzęzły turkotania wozów,
w domach jeszcze
ze ścian słońcem oddychały obrazy.

Dusze ludzkie były bliżej Boga,
dotykały szczęścia szeptem zdrowasiek.
Drewniane figury przy drogach
z ukrzyżowanym Chrystusem.

Widział syn szewca Jasio
jak Bóg dobry krwawił jarzębiną.
Bukiet lilij już tak dawno oseczł,
dojrzewało łzami dzikie wino.
Za figurą milczący las
z rozchodnikiem żółtym na piasku.
Rozchodnik jak senny czas
o szarym, jesiennym brzasku
schodził aż pod figurę
i leżał krzyżem.

Chrystus rozpięty na chmurach
uśmiechem do ziemi się zbliżał,
więc prosił go chory Jasio,
aby ojciec nigdy nie pił wódki,
aby matka w balii nie gubiła
łez opadłych jak kwiaty ze smutku.

Od ziemi wilgoć w chude kolana biła,
dreszczami biegła po plecach,
a Chrystus żelazny wciąż konał
i rozchodnikiem rozświecał
Jasia wzrok załzawiony.

Wyblakły oczy ludzkie,
cięte wiatrem dżdżystym co rano.
Ręce coraz mocniej ścisnęły smutek w sercu.
Jak pociągi stodoły odjeżdżały w echa rytmem młócki,
deszcz sekund tak powoli spływał w dół po ścianach.

Ludzie szukali szeptów duszy w rozwilgłych liściach po ogr-
[dach,
z jabłoni jak duże krople zwisały jabłka zimowe.
Wychodzono z chałup w szarą niepogodę,
aby o sennie niebo senną otrzeć głowę.

Ludzie,

po co pisać o nienawiści i źle,
po co w jesiennej słońcu gniew w wargach rozbudzać ?

Spójrzcie :

jak smutne i dobre są wyciągnięte ręce kobiet,
w których tęsknota wieczorna na pewno nie znajdzie ujścia.

W łózkach jak w grobie
leżą bladzi mężczyźni, przykryci wiekiem snu.

Jak tu pisać o żądzach, o kłamstwie, o brudzie,
gdy
w jesiennym, bezkształtnym dżdżu
chodzą prości, zadumani ludzie,
pochyleni nad łkającą duszą.

Czyż można widzieć zło w oczach, gdy płaczem niemym łzy
[kruszą?

Czyż można przekląć pogardą najbielszą mistykę rąk?

Patrzcie :

moje dziewiętnastoletnie oczy
sponad rośnych, działuńskich łąk
w poemat się smutnie potoczą
i zasną —

Ze wzrokiem, który mierzy zadumą oddale,
błądzą ludzie tak dobrzy, tak prości, tak mali.

WIERSZ EGZOTYCZNY

Nie kłuj mych oczu krajami tamtymi śmieszny kaktusie,
już szyba przekrawa światło
na poprzek.
Za szybą, gdy przymknę oczy, ożyją wyniosłe strusie
i niebieskie sudańskie lato.

Ten świat z fezami Turków na twoich kołcach się oprze,
i stąd mnie tunelem wywiedzie.
W Bombaju ranki są ciche od lśniących asfaltów cieni,
a światła są wąskie i niskie.

W Meksyku jakieś jezioro w palm okrzyk może się wspieni
i szmaragd nieba przechyli ukośny przelot kondorów.

Po co przez kaktus na oknie Grand Chaco oglądać z bliska,
gdy ponad Gobi godzinę 12-tą księżyc wybija.
O zmiernych, co skraca oddal, aleją Wojska Polskiego,
pachnąca orchidejami przyjdiesz Dolores del Rio.

1935

DO POEZJI POLSKIEJ

Oto

triumfalnym wierszem turkocze na bruku wóz,
pocałunki blasków na stawie jak rymy,
dźwięczy wśród wody złoto,
dźwięki zaciera szmer łóz,
od łóz wiatr dymi.

Poezjo, jakie tve imię ?

Ze strychu po spróchniałej drabinie
zeszła otulona tajemnicą noc.

Odepchnęła moje sny od oczu,
tylko jeszcze myśli się mienia,
wysadzając razem z sercem moc.

Poezjo,
święta niewolnico,
krzyżowana liryką chwil.

Już na wylot mnie zapal przeświecił.

Rozumiem :

upraszczano twój nurt kolorowy drzew jednostajnym szumem,
kazano się tobie uśmiechać znudzonymi wargami kobiet,
duszono cię w każdym wierszu zapachem astrów i lilij.

Oto jestem na twoim pogrzebie,
ręce opieram na sile —

krzyczę :

Kwiaty, mówcie po polsku !
Niech szelest drzew się zapadnie w wilgotnej od tęsknot ziemi,
niech z niej młodość oczami zaświeci
i wiatr porznie na karzący rzemień.

Pościnać te lilie i astry !
W oberek rozprysnąć rosę !
Niech jak pięścią poezja uderzy
eposem !

Zrozumcie, że wieczność żyje na każdej kościelnej wieży,
że słońce wschodzi Ojczyzną.

Biegnę,
biegnę duszony liryką wieczornych wyznań.

Niech te słowa w echa werblem uderzą,
niech rozejdą się jak sny apostołskie.

Poezjo, klękam przed tobą, bo wierzę,
że będzie w Polsce jeszcze więcej Polski.

STRASZNA OPOWIEŚĆ

Ano posłuchajcie :

Spadł śnieg.
Miedze ścichły,
obielone grusze drugi raz zakwitły,
tylko na drogach za końmi wiatr biegł,
zacinał.

Jakoś pod wieczór umarła pani leśniczyna.

W lesie wśród białych krzewów śnieżne wycie psa,
a w zeschniętych leszczynach
chustką wielką wiewała mgła.

Akurat wtedy z jarmarku wracał sołtys do wioski,
w karczynie czerstwe uśmiechy okien : krokom raźniej.
W kieliszku wódki osłabła wkrótce chłopska troska —

i znów mroźne milczenie zasp przy białych rowach.

Sołtys wszedł w las.

Nagle mgła jak leśniczyna wstała znad moczaru,
zaświeciła księżycem w sołtysowe oczy,
a wiatr na krzewach, jak na marach,
poniósł płacz śnieżny w stronę krzywej figury
i chichotem w jałowce się stoczył.

Z figury wyszedł święty Mateusz,
chwiał się smętnie w białym, śnieżnym wirze
i wyciągnął do sołtysa palec.

Śnieg zaskrzypiał coraz bliżej i bliżej...

Nie słuchajcie dalej.

WIEŚ

W niedzielne popołudnie
wyjeżdża Warszawa tramwajami
za miasto
oglądać wieś.

Bo na wsi cudnie.
Niebo tam grubsze szumami,
słońce chaty porasta,
a wiatr jak pieśń.

Warszawianie,
umocnijcie wzrok dłońmi wzdłuż zdziwionych brwi
i oprzyjcie go mocno o zmierzch widnokregu,
bo oto różową wstęgą
powiało ode pól fujarkowe granie
i pasiaste rozwinęło echa.
Na przedmieściu zaświeciły strzechy,
kiele nich latarnie kieby nocne świetliki
wydłużyły odbłaski w postrzępione steczki,

a po trawnikach
aż do rana
rozedrgała się dziarna poleczka.

Oj, dana, dana, dana !

Wieczorem blade panie w matowych salonach
nie śmiały już otwierać słów karminowanych,
bo w oknie otwartym czerniała wielka przestrzeń,

umajona zapachem zagonów.
W przedpokoju palma rzuciła cień chojara.
I choć cień ten kilka razy w blask froterowano,
nie można go było zetrzeć.

Na balkonie noc była kara,
trzaskały świsty rzemienne z klonów na alejach,
gdzieś
z niebios sypała się gwiezdna zawieja.

Coraz barzej napierała wieś :
hurmem,
rażno,
kolorowo.

Ranek z okien ciekawie wychylił mieszczańską głowę,
omglałą śpikiem.
A już na ulicach marsz się zakolebał.
Tupot, czerniąc się pod śmigłym krzykiem,
do murów przyparł echa.
W górze niebo pachniało razowym chlebem,
w sklepowych wystawach blaski jak złote snopy.

Szły chłopcy —
w słonecznym przyodziewku,
środkiem Warszawy.

Nad miastem kajś kur zapiał krwawo.
Było w stolicy mniej świata, ale więcej Polski.
Wszystkie ruchy w kolory zakłęte,
wszystkie słowa kwiatami upięte.
Migiem dzień się zszarzały ogarnął
w wielgachne święto.

W Warszawie rosło zboże na wysokość trzech pięter.

JASKÓŁKA

Eugeniuszowi Zielińskiemu

Na płocie
obłokami białymi wisiąca bielizna,
obok w wiadrze ostre drzazgi z wiatru,
szum w topolach — potoczek.

Można było przez szyby bliskość dnia rozeznąć,
więc patrzyła Basia na podwórze.
Wtedy w górze
ostry przelot jaskółki zaczął,
cień jaskółki biegł za nim i zginął wśród sztachet,
świergot został przy oknie iskierką.

Basia zgubiła na chwilę myśli o pięknym Stachu.
Zamyślenie jest mrocznym zaułkiem.
Trwając na nim Basia zawołała :
Jak to dobrze być taką jaskółką...

1936

GENEZA POEZJI

Nuty to małe okienka.
Otwórz je cicho.
Inny świat przez nie się zsunie.
Wśród trosk życia trzeba szerzej oddychać.

Pnijmy się po dziwnej, pachnącej łunie
piosenką —

Kiedyś moja matka,
gdy bolało skrzywienie komody,
pluskiem gorącym zmywała statki.
Widzę : w parze kontur kuchni łamie się i gnie,
choć za oknami rośnie pogoda,
tak źle.

Matka stawała przy oknie,
brała na ręce światło jak dziecię.
Potem jak szata spływała z niej pieśń :
fałdy były nutami.
Ach, jak wtedy świat świętecznie świecił —

brała mnie w ramiona obielona wieś,
wiodła do szczęścia miedzami,
a miedze wiodły do lasu.

W pieśni krakał kruk czarnopióry,
o szyby biły Ebro dalekie fale,
jakieś owce na melodii się pały.

Nuty wyżej — to spiętrzone góry.
Zakryły je wieczorem nasze żółte rolety.
A pieśń snami moimi popłynęła dalej —
zostałem, mammo, poetą.

1936

ELEGIA NARODOWA

Nie chodźcie z pieśnią parną na srebrne polany,
gdy wiankami odpływa noc świętego Jana.

Już dziwożon nie dojrzą pochodnie i księżyc,
Swarożyc w trzcinach leży — martwy blask, rzezucha.
Dawnym bogom pogańskim nie grajcie od ucha.
Zatopione kontyny, podeptane węże
i znicze w deszczu z sykiem pełnące pod cienie.
Nie chodźcie w noc pogańską w głąb świętej zieleni.

Jakże Twoją koronę uplatać ze złota —
Chrystusie z wiejskiej, zmurszałej kapliczki,
kiedy modlitwa chłopska pachnie skargą i potem,
a małwy to są polskie na ofiarę świeczki.

Polsko, kraju wymarłych wspomnień, kraju deszczu —
cienie zamków twych oczu chłodem wieków nie pieszczą,
wiatr się wcina co jesień w ruiny i gruzy —
tak przeszłość się zawala, każde dziś się dłuży.
Ku jutru jak się udać, gdy na ścieżkach chwasty,
zabłądzisz nawet w polu, nie ma chaty Piasta.

Nie ma w snach dumy świętej, lecącej po niebie,
bo cmentarz nie odradza, tylko kości grzebie.
Elegia, o — to strumień, który łodzie nasze
poniesie tam, gdzie w piachu rdzewieją pałasze.

Morza szumią — mówicie, góry rosna — mówicie.
Ale echa pogłuchły — puste, tępe życie.

Między chudą chałupą a pijanym miastem
tragizm siejemy co dzień, niech na chleb wyrasta.
Potem karmić będziemy i siebie i dzieci,
aby bielmem żałości patrzyły w stulecia.

Kości bogów wśród krzewów świecą, deszcz się kruszy.
Łzy na twarzy Chrystusa wciąż nowe, wciąż nieme.
Wędrujemy po drogach, elegijne dusze —
i choć grozi chmurami krwawy Wschód i Zachód,
my patrzymy na buty własne — jak lgną w piachu.

1937

TRAGICZNA CHOĆ WOLNA MŁODOŚĆ

Kopyta. Więcej kopyt.

Na szablach wzniesionych okrzyki,
błękit owija czapek otoki,
dudnienie armat wbija w serca granit.
Naprzód! Wyrównać szyki.
Pieśń przed oddziałem jak szaniec —

to wszystko w trzyletnich oczach rośło pożarem sławy,
wolność otwarła nam usta i oczy i uszy i ręce.

A teraz wspomnienia krwawią,
gdy oczy już nie dziecięce —

O, tragiczna, choć wolna, młodości,

trudno błękitem maciejówek pokryć sklepienia marzeń,
trudno dzwonami rocznic wołać o wielkość daleką.

O, błękitni rycerze wolności,
dziś czerwień dawnych sztandarów inaczej nad wami się jarzy,
rany na piersiach zakryło złoto i srebro orderów,
od karabinów są lżejsze ministerialne teki.

Niech ten wiersz szych wielkości z pomników glinianych po-
[zdiera,
niech nowe wzniesie.

Czemu tak prędko, wielkości, spoczęłaś w krypcie Wawelskiej,
gdy młodość ku tobie rwie się.

Młodości ! Tobie husarskie skrzydła szumiały nad kolebką,
kopyta biły po piersiach,
aż piersi zmieniły w pancerze.
I cóż, że świecą rocznice, że Sybir, że dziadów kości —

Ramiona nasze zbyt krzepkie,
od dziadów jesteśmy szersi,
tylko w sławę hymnem uderzyć
i —
wyżej !

Sztandary wiejące z dachów
dla naszych oczu za nisko —
Na roścież otworzyć drzwi !
Krok młody chce okuć Polskę innym, dźwięczniejszym śpizem.

Ach, nam się marzyło, że z ojczystego błękitu
dla dusz zrobimy mundury,
że epolety będą z wiejskich słoneczników,
że ostrogi z połysków morza.

Myśleliśmy : Tatr szczytów dosięgnie szum żyta,
a górą
moc Polski popłynie jak rzeka,
rozleje się na świat, świat pierwsza przeorze.

O, moja wążła Ojczyzno,
jakże ci ciężko oddychać maleńkim skrawkiem Bałtyku —
Gdy przymkniesz splakane oczy,
Dniepr muśnie twarz twoją chłodem, Warmia boleść swą wyzna,
pancerne lata Chrobrego po łanach potęgi kroczą,
przeszłość odkrywa przyłbicę,
rośnie jak wieża kościelna
„Bogurodzica”.

Ku niej odwróćcie twarze,
ręce oprzyjcie o dzielność.

I kroki w ziemię —
mocno —
aż serca się zmieniają w ołtarze.

Oto
nic już, że co raz ciemniej,
że sława tak nisko lata —
bo widać zwycięskie godła,
spojrzeniom jest coraz szerzej,
a ust tego wiersza nie zamknie wyraz zimny i podły :
Bereza !

O, tragiczna a wolna młodości !
choć ból w gardło powrozem się wrzynał,
gniew młody go chwycił i rozciął —
Nie płaczę, ale przeklinam.

1936

NIEPOKÓJ

Niepokoiony
przez drzewa i przez dzwony —
bo nadaremno
i księżyc i wiatr był ze mną,
póki hełm księżycowy
nie zsunął się z mojej głowy
na liście opadłe z drzew.

Teraz
nie wiem na jakim wierszu umierać :
wiersze wybuchły spod wiosny,
w krzyże pochyłe wyrosły,
księżyc spadł na nie płytą grobową.

Między wierszami trzeba wybierać
i drzewem albo gwiazdą umierać :
taki twój los, poeto.

Zima stopniała bielą, białe gołębie oto —
i znów okiście wiosny zapach w obłoki wzniosły,
chodzę pośrodku zapachów.

Przedemną coraz czerwiejszy, coraz silniejszy zachód,
horyzont pokłonił się smutkom.

Których mój gest patetyczny uzbierał, krzepił na krótko —
odeszli.

„Samotność — cóż po ludziach...”
pieśń sprzed stulecia się budzi,
poezja zmierzchu.

Przetrwam — niepokojony
przez drzewa i przez dzwony.

OJCZYSTE

Stanisławowi Piaseckiemu

O, nasza polska, narodowa nudo.

Strzępi się deszcz jesienią i wiosną, i w snach,
postrzępione jak szarfy leżą wspomnienia pochodów.

Wokoło —

jak szeroko obejmiesz echa — hasła się tłoczą, idą.

Na tłumie czarnych łbach

nadjeżdża rozchełstany wrzaskiem cień narodu.

Tylko w księżycu ujrzysz białe jego czoło —

a w dzień

rozchełstany cień

i krople potu.

Zapomniałeś dzwon zbroi wiszący w komnacie Chrobrego.

Wiatr wtedy z trzaskiem otwierał granice —

a z końskich grzyw był ten wiatr.

Naród rzucał ostre cienie grotów.

Gdzie upadł cień — rosły zamczyska wieżyce.

Ogień na baszcie chwiał się jak sztandar, jak kwiat.

10 żelaznych przykazań miał król,

a każde przykazanie sadił w szumie pól,

aby się kłosa mogły zmieniać w świsty kul.

O, nasza polska, narodowa nudo.

Czemuś deszczem zatarła ślady tamtych cudów —

że teraz —

nie wiemy jak się rodzić, jak żyć, jak umierać.

RACHUNEK SUMIENIA

Dziś innym wierszom pora spadać z oczu i warg.

Jeśli czerwienisz wiersze — serce musi krwawić.
Dla buntu i rozpaczy napnij dumą kark.

Smutki. Szkoda ze smutków prząść klucze żurawi
nawet gdy jesień —

Wystrzel patos z natchnienia — daleko doniesie.

Na widnokręgach stoją lśnienia młodych łuf.

Nie wiem czy to otwory łuf, czy tylko oczy,

ale wiem, że z nich może kwiat ognia wyskoczyć.

Ten kwiat potrafi zabić, choćby był ze słów.

A tu się wiersze plotą w kobiałki sosnowe,

a tu szeptu rąk drżących i nocny świerszcz — pióro.

Za oknem wiatr wyostrzył niebo. Zetnie głowę,

jeśli będę z wierszami chciał uciec za chmury.

Stać!

Ani kroku dalej —

poeto tchórzliwy.

Na fujarce potrafi każdy ładnie grać.

Ale w szereg wgiąć pychę i alarm zapalić

trudno — kiedy chłód śmierci spod nóg się podrywa.

Wciąż tchórzę.

Mówię wam, zem wierszami do ojczyzny przywarł,

że sobie piękno każde od ust odejmuję —
byle dla was.

Lecz kłamstwo wisi nisko, oczy jeszcze w górze.
Wiem dlaczego. Wasz zbrojny gest w oczy mnie kłuje.
O, bo on bardziej dumny, niż galop mych gwiazd.

Każdy uśmiech przyjaźni chwytam na młodej twarzy,
z lękiem biorę go w dłonie, patrzę — ile waży.
Szukam serca. Rozrywam uśmiech jak kopertę.

A jeśli wydobędę z niej słowo : dezertier.

1938

PENSJONAT

Michałowi Choromańskiemu

Wyspa nudy i westchnień,
którym trudno przez białe firanki
przewiać na słońce ścieżek i klombów.

W taki czas pani Irmie nawet spać się nie chce,
patrzy za zaschnięte w albumie sasanki
i myśli : lato, cisza.

Cóż z tego ?

Zostanie po tym jakiś kwiatek, jakiś strzępek barwy.
Przechyla wzrok i przez mgłę ciepła słyszy :
dwa czarne psy wśród krzeseł po werandzie biegną,
cień poderwał się od nich, uderzy o ścianę.

Wtedy na schodach kroki. Wolno. Kto to ? Bredter ?
— Dzieńdobry. Ach, te psy... — papieros ścisza dymem słowa,
ze smug dymu nad głową fioletowe liany —
taka to fantazja panieńska.

Słońce teraz przetyka miłym ciepłem sweter.
Tylko w dłoniach wciąż niechęć : boli, boli głowa.

Telefon... który ? Telefon ! Ach, do mnie...
Korytarz od ech słońca dziwny, jakby wklęsły.
W środku wklęsłości srebro — to dzwoni telefon.

Na podwórzu wiatr pełza po słomie
i rozdmuchuje cienie za idącą Stefą.
— Panno Stefo, kto teraz przyjechał, bo klakson —
Właśnie czarna plama poza oknem, zgrzyt.

Doktór.

Do kogo ?

Zmierch wśród parku. W alejach kroki, ludzie — gasną.

Jakaś piosenka wstążką niebieską przemyka.

Pan Bredter w plamach zmierzchu dziwnie schudł i zbrzydł.

Przystanął. Za zasłoną żółtą ktoś gra nokturn,

więc jakoś czarniej auto odjechało drogą.

Co za pomysł grać nokturn zaraz po zastrzyku.

Kolacja. Jakże biało na stołach i w oczach.

W lustrach głębokie tony, głębokie spojrzenia.

I wtedy dzwonek. Boże ! Ktoś z fotela skoczył.

Pani Irma ma atak ! Bredter zdusza drżenie.

Filiżanka w dwu palcach i trzask na posadzce.

Doktor jeszcze na stacji ! Proszę biec na stację !

AUTENTYZM

Rozkopać słowa —

czym bądź —

aż skiby wzniosą wilgotne spojrzenia.

Tu drzewo ze środka pamięci, dno biało-czarne : krowa.

I po co nimby ?

Wystarczy wizje tłuc jak przydrożne kamienie,

z odprysków słońca uchwycić rytm —

bo rymy zlatują się w cieniach.

Nic to, że tamten kontur pamięci od smutku zbrzydł.

My go zorzemy pod blask.

Poci, lemiesz w ziemię !

Spod pługów nowe wyrasta plemię.

Ornament z liści klasycznych skostniał w żelaznej oprawie,

zgaś.

Kto się nie boi zajrzeć słowom narodowym

w niebieskie, głębokie oczy —

niech odbicia poezji szuka wśród trzcina na zwykłym stawie,

niech pojmie, że stogi mają harde, złożone głowy.

Z nich pożar na Polskę wyskoczy.

WIERSZ KTÓRY KARKU NIE UGNIE

Gdzie na bagnietach strome błyskawice,
tam nasza sława i nasze granice —
kule dal każdą szybko wymierzą —

Rzeczpospolito :

Przestań będę żytnią gromadzić w śpichlerzach,
długi krok podaj koszarom, żołnierzom —
mógł o radę nie pytać.

Ani różowych piosenek,
ani otwartych okienek —

Niech sobie panna chustką powiewa,
gdy ty wiatrowi prochem zaśpiewasz,
Rzeczpospolito.

Ja, syn słonecznych wiatrów, lirycznych zagród i lnu —
wiejską, pasiastą piosnkę zdzieram z mych chłopskich słów.

„Kanyś to rycerzyku,
rzą bułane koniki,
nuty dzwonią — to szable,
piosnka cichnie na mchu.
Jaś odjechał na wojnę —
wojenko kochana —
stoi gdzieś przy płocie piosnka zapłakana
kiele leśnych ech”.

O, za tą piosenką pojechać mi trzeba —
zostanie galop konia i chłodny cień od strzech.

Ja, syn słonecznych wiatrów, lirycznych zagród i lnu,
przyzywam wojny żelazne do moich ramion i snów.

Wiem gdzieś rycerzyku
na bułanym koniku,
gdzie pieśń..

Tam na bagnietach strome błyskawice,
tam nasza sława i nasze granice !

Plujcie mi śmiechem w poetycką twarz
za moją miejską brukowaną młodość —

Co noc pośród latarni
szukam srebrnych kawiarni —
myślicie może że wasz,
że ten wiersz to przygoda —
a to moja zagroda,
w purpurowy owijam się płaszcz.

W dzień nad biurkiem się zginam — zwykły, blady : to ból.
Telefonów się chwytam, łączę serca i pytam :
czy z łez można ułać wiele kul ?

Nie wstyd mi już, że zgięty przechodzę pod każdym dniem,
żem tu w stolicy przywykły kapelusz zdejmować nisko,
miłe słowa przyjaciół ciężą i uszom i barkom,
wiem :

Chociaż życie wciąż będzie gardło mej dumy ścisnąć,
chociaż się oczy z chmur stoczą — lecz wiersze nie ugną karku.
Podważą cię — polska poezjo — upartym, chłopskim łbem !

Przyjdzie czas, że z piosenek bułane koniki
wylecą na wiatr deptać kwiatki i słowiki,
że będziesz Rzeczpospolito
z gór i mórz miała ramiona.
Każdy Polak sławę z wierszy odczyta,
choć poeta pod wizjami skona.

Śmiejcie się z mojej dumy,
lecz mój wiersz, to nie strumyk —
huczy, szarpie i błyska.

A kiedy się już wielkość po Polsce rozlegnie,
kiedy krew poboju zabarwi pierś pługom,
pamięć waszą przydusi moje chłopskie nazwisko,
aż pochyla się oczy, aż spojrzenia się ugną
przed tym wierszem, co karku nie ugiął.

1937

MSZA ŚWIĘTA

INTROIBO

Introibo ad altare Dei . . .

Któryś nas wywiódł z głębi szumu, z dusznej kniei,
któryś rozpostarł na niebiosach dzwony —

oto drogi zarosły kurzem, chwasty nudy,
przed bożkami spaśnymi wiatr bije pokłony,
syreny fabryk głuszą wieże — nie ma pieśni.
Albo za późno Tobie tu, albo za wcześniej.

Iżę nas wtrącisz w głąb mrocznej zawiei,
iżę historii miecze przeciw nam, przy sercach —
introibo ad altare Dei —
kolanami w pokorę się wwiercę,
w pył dróg, w chwasty nudy.

Ręce oto — oświecaj, wszędzie jeszcze cudy.
Tyżesz to znów ?

A były kiedyś wśród puszczy
wieczne ryki krów.
Na gontach ptaki słońca, na drzewach wiązki świergotań.
Za dużo niebo dało słonecznego złota,
żeśmy mijali szlaki, omijali dzieje,
dobrocią mimowolną ocieniając knieje.

I szum Bałtyku bursztynowy
tylko bryzgami piany szronił sielskie głowy,
okrętom żagle dawaliśmy z obłoków,
dłonią przysłaniailiśmy pęd nagłego wzroku.
Myśmy tylko zbierali kamyki przyplływów
i piosenką słodzili bursztynowe żniwo —
choć północ wyzywała mroźnym ostrzem klingi,
przed sieciami na łodziach żelazne wikingi.

I przyszedł dzień, kiedy strugi słowiańskiego świtu
przestały pluskiem mamić, galop plusk rozpryskał.
Miecze lśnią, drzazgi krwawe z karków Obotrętów
spadają pod germańskie podkowy i buty.
Nie zasłaniaj — współczesny — przed przeszłością oczu,
nie wstydz się gdy centkami krwi prześwieca smutek.
Wypatruj szczyby w wiekach, a może wyskoczą
szlaki z drogowskazami zapalonych wici.

Grody Czerwieńskie widać, Kijów rozwarł bramy,
Morze Czarne w brzeg misji dziejowej uderza,
świeci.

Ale nim broń obeschła w pacht oddano kramy.
Zboże sypie, więc ziarno w hełmy, do puklerzy.
A tam Bałtyk wciąż woła o żagle nie z chmur — z płótna !
bo obłok w piosnce sielskiej zbyt prosty, zbyt łatwy.
Wisła to rzeka jak cień brzozy smutna.
Zamiast okrętów płyną do Bałtyku tratwy.

Introibo ad altare Dei.

Tyś nas wywiódł z łatwizny jak z kniei
na historii uzbrojone szlaki.
I stały się miast polan złe pobożowiska,
i stały się miast kopców tragiczne kurhany.

Za krzyże, miecze, jagiellońskie znaki,
za mesjanizm co klęka i błyska,
bądź wystawiany.

Wiemy to : dwa nad nami sterczą horyzonty.
Uderzy pięść wystrzału i już są dwa fronty.
Polska teraz — gdy trzeba — sielankowy śpiew,
gdy purpura zawoła — z każdej zwrotki krew.

Ku Łużycom, Pomorzu, Warmii, Litwie, Rusi —
prowadź Chrystusie.

Któryś nas kazań dla potomnych uczył,
Któryś nas wywiódł z historycznej kniei,
Któryś dał Polsce krzyż — piotrowe klucze.

Introibo ad altare Dei . . .

CONFITEOR

Ciągle czepiam się schodów, wind, klamek i tonę,
zanim w cmentarz się stoczę, przywalony dzwonem.

Nogi ugrzęzły w bruku.
Chłodne fale neonów,
ulice osaczają, plac wybuchł i w twarz,
biją odpryski przestrzeni jak huk.

Pytanie rozwiera oczy : Ktoś ty — łgarz,
urzędnik, poeta, leń ?

Jak szpicel czai się za nami cień.
Tu w mieście, w krainie zapatrzonych okien
przemijamy, uciekamy zachrypniętym krokiem.

Czas zamknięty w zegarach dzwoni kajdanami
godziny,
podają posiłek przez kratę, łóżko zac zadzone snem.
Czasami
księżyc na przedmieściu, na czubie nieba wiatr i noc zaklina,
serca idące napada.

Przystanek tramwaju, przystanek sumienia.
Nad takim srebrnym dnem
niech się włóczęga spowiada.

Żal jak rosa na krótko i już się odmienia
pięścią wykuta na piersiach pokora.
Znów lisie kroki, szpicel-cień i stora,
poza fałdami kłamstw fale neonów...
odchodzą i przychodzą pielgrzymki dzwonów.

I zszedł po białej nowinie
na miejski, czarny dziedziniec
anioł — szum skrzydeł woła.

W domu rupiecie zakurzonych spraw,
chodzisz po dywanach jak lis, osioł, paw,
a chcą cię na apostoła.

Porzuć —
i w długiej tunice,
z kosturem —
wyjdź na kraczącą ulicę
i stań pod anielskim chórem !

Każą : wznoś śpiew
i biczuj dom swój i żonę;

trudno o kostur, gdy zieleń drzew...
gdy w domu troska złocona.

Porzuć, na apostoła wybrany,
fotele, łoża —
da ci w nagrodę Bóg gorące rany
z judaszowego noża.
I zapał kur po trzykroć
i zgasło wołanie.



Jakże apostołować gdy krzyżują za nie.

GLORIA

Łąki unoszą barwy i woń — a motyle
jak strzępy kwiecica,
zасыpują czas parny coraz to zawilej,
a w tej parności — stulecia.

Kadzideł jeszcze nie trzeba,
nie trzeba pieśni.
Rwie się poranek — złoty żrebak
w zadymkę z kwiecica czereśni.

Barwy i wonie
jak senne dłonie
kłaszczą cichutko.

Hosanna Bogu uroków,
co płynie słoneczną łódką
po planetarnym potoku
i budzi dotknięciem wiotkim
gwiazdne i ludzkie ciała.

Sący się zapach słodki —
Gloria — Chwała.

EPISTOŁA

Nas — pielgrzymów upadłych —
skazałeś na śpiew, Panie.

Melodie ptaki skradły,
w kielichach kwiatów krew,
na łakach armat granie.

Tarczą modlitwy trudno obronić
oczy przed zorzą krwi i sztandarów,
bo już świat strzela kulami różańca,
Kyrie Eleison w pochwach szabel dzwoni,
idzie szarfą procesji przepasana wiara
do świętyń Chrystusa — Powstańca.

Duch Święty zstąpił na chore narody,
języki ognia dał z syku granatów.
Białe psalmy pokory? — o, nie, z czarnej wody
twarz wychyla samolot, zły topielec nieba.
Chcesz nawracać gołębiem — szkoda, bo nad światem
jastrzęb stalowy krąży, białych piór nie trzeba —
Grzeszyliśmy. Grzech każdy spadł na dno sumienia.
Włosiennice pokuty schowano w więzieniach.
Rozlewaliśmy wino, pieniądze i śpiew,
wołaliśmy o gwiazdy, strumienie, obłoki.
Wyszły chciwe pragnienia, bielmo kłamstw na wzroku,
gniją żyły — czas przyszedł, by rozlewać krew.

O nie dziw się, upadły,
że lwy na tronach łby pokładły,
że rdza się sypie z wieszczych ksiąg.

Życie takie na klęczkach witać,
ręce wyciągać po gniew, jak po broń.
Gołębi Bóg w Drugiej Osobie zaświtał,
kwiaty zrywa i płatki rozciera o dłoń.

Słyszycie — oto pachnie Boża krew
na ukrzyżowanych rozstajach dróg.

Psalmy więdną — żołnierze mają ostry śpiew,
a słowo jękiem się stało, a z jęku stał się gniew.

Dymy wojenne wznoszą gotyckie świątynie
w Polsce, we Francji, Norwegii i Czechach¹,
z armat psalm świecki żelazem wychynął.

Kłękajcie pokutnicy na zbrojnych oddechach.

1. Zaktualizowane w 1940 r.

GRADUAŁ

Tu pod stropem płonącym zorzami jak stóg,
od świtu się zaczyna krzepka walka sług.

A im kto niżej stopnia, a im kto bliżej cienia,
tym srożej prawa górne pięściami odmienia.

Sługa służący słudze — ironii łańcuchy
skrzypią i echa skamleń powstają jak duchy.

Tyś brat, tyś zięć, tyś może ojciec albo syn,
nic to — bo już ci krewniak zwali tobół win

i podsunie nóż ostry, krwi trysnąć pomoże,
i powie, że w tobole przykazania Boże.

Pokuta — pokutować. Lochy, kraty, nory —
Oskarżają łotrowie, plując w twarz pokory,

dopóki na niej bladeść nie zastygnie dumnie,
tak cię brat i przyjaciel widzi w zgniłej trumnie.

W górę po stopniach ciszy do chłodnych przystani,
gdzie niebo w ziemię wbiło dąb, wicher i granit,

idzie tłum i bełkotem usta zeszcłłe płócce —
tragiczny, podeszwami przykututy do włóczęg.

Jak uścisk dłoni zewsząd usłużne kajdany:
— Przyłóż mój przyjacielu żelazo do rany. —

Takie są stopnie w życiu i pobojuwiska,
sługi walczą z sługami — a Pan patrzy z bliska.

EWANGELIA

Onego czasu

wyprowadziło nas słońce z szałasów,
a słupy wiatru pośrodku pustyni
chwiały się jeszcze.

Rzekł mi Pan w miedzi i szumie zakłęty:
Co czynisz,
jeśli być miałeś od zarania święty?

I Bóg pokarał mnie deszczem
i powrozami piorunów omotał
i na pożarcie ceniom nocy rzucił.

Przez dni trzydzieści rozpaczała słota —
ludziom, zwierzętom zdeptując ślady,
a ciało nasze okrył całun chuci
i gorycz parną odrywał od nóg.

W snach umęczonych rosły białe sady,
gdzie woń kwitnąca miast ścieżek i dróg,
ażem się budził o północy, kiedy
wyły na wydmach zbłąkane księżyce.
Wolałem — Łaski.

I wtedy
środkiem snu zaczął jechać smagły rycerz,
wlokąc za sobą cień długi, dźwięk płaski,
i cztery trupy, gnijące od grzechów.

— Oto jest żywot twój — rzekł Pan zza chmury —
ten sen skłębiony z twojego oddechu,
gdzie czyn jest mieczem, a skrucha kosturem. —

CREDO

Na mchu mi dałeś
puszyste leże.
Słowo jest ciałem :
wierzę.

Więcej nie trzeba
Bożych pieczęci.
Latarnie nieba —
Święci.

Gdy w komżach białych
białe pacierze,
słowo jest ciałem :
wierzę.

OFIAROWANIE

Tak myślę :

Zbuduję dom pośród burz
na skraju duszącej się ciszy,
miasto mury połamie i cienie potopi w Wiśle,
krwawe ślady zostaną od cegieł i zórz,
a może skargi falujących klawiszy.

Oblany chmurami i parkiem,
stanie kamienny dom — arka,
ustronie mdlejącej bieli,
balkon niedzieli.

Zbuduję ołtarz w mym domu,
zwykły stół.
Na nim obrusem będzie świeży, dębowy zapach,
a wszędzie
księgi okute kłamrami wieków.

Na zwykłym, prostym ołtarzu
ze słowiańskiego drewna —
ofiaruję Ci, Boże, najtkliwsze żelazo,
żelazo rzewne :
poemat ten, z pokłonu Twój — nie Twój z goryczy !

Nie żałuj, rozkaż rymy leniwe oćwiczyć,
okiełzaj rytmy lisie, łabędzie i kocie —
— przykuj do swoich sandałów,
niech żar wędrowny je spali.

Co bliskie jest — oddaj ciału,
a co dalekie — dali.

SEKRETA

Niech nas przez chwilę chociaż ocienia
niepokalany urok zdziwienia —

że ły to jeno słowa anielskie,
które spadają z rzęs, jak z powiewu,
że prawda może karmić się zielskiem,
choć w nim gorycz dojrzewa,
i że są drogi wydobyte z pyłu,
czaszkami wybrukowane —
że po nich chodząc, podpierasz się siłą,
bo zapach śmierci może stać się łańcem,
bo z trupów rosną najczęściej modraki,
a nie kąkole.

Jakże zrozumieć te dziwy, jak dostrzec ?
Myślałbyś : prorok huczy w noc chodakiem,
a on może też nosić na kościach sobole,
zgonów dotykać posrebrzonym ostrzem.
Z ornatów mogą spływać krople złota
i dzwony huczeć na wieży z pieniędzy.

Pamiętaj jedno : bije źródło potu
środkiem kamienowanej od prośb ludzkich nędzy —

prośby jak węże opasują ciało,
i w niebo sycząc, ciału mówią — mało !

O gdybyś wiedział, uwięziony w ciemni,
że ponad tobą olbrzymi słupek ducha
ciąży tak wielki — jak Twój Bóg daleki ;
im bardziej słabyś, tym bliższy jest ziemi,
która z grobami gada, która mroku słucha.

O gdybyś wiedział, że nad tobą rzeki
płyną do stawów, kołyszących gwiazdy,
że nad tą wodą jak miasta — Zodiaki
stają — i rzeka milcząca jest każda.

Popłyn tam — górą,
nad chmurą, pod chmurą,
niech cię słup ducha podpiera,
jak przedtem do ziemi przygniatał !

Módl się, Bóg bowiem w modlitwie otwiera
serce, a myśli w tajemnice wplata —
Śmiertelny szuka i pyta : ta, nie ta . . .
Dym z jego pytań. Dym — Boże sekreta.

PREFACJA

Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary,
czego za dobrodziejstwa . . .
Gdy te słowa ukłękły, w Polsce był czas jary
wśród drzew, których gałęzie w błękicie jak witraż,
a w dole na mchach miękkich świergocząca gęstwa.

Do starej pieśni wraca wnuk
i puszcę wskrzesza hardy róg,
słońce ponad nią jak mitra.

Czego chcesz Panie za naszą siłę,
co korzenie zapuszcza w granice piaszczyste,
za ostre góry i rzeki zawile
i za gołębie lecące z gruchaniem
jak z apostołskim listem —

Tkliwość modli się jeno — tak mówili słabi,
na ofiarę śląc bóstwom jagnięta i łanie.
U nas uderzasz w piersi jak w żelazną bramę,
u nas dłonie złożone to jak tarcz na tarczy.

Gdy spokój — trwa rycerstwo kos, motyk i grabi,
i snop w słońce wzniesiony kłosem jędrnym warczy.

Nakarmiłeś swe dzieci i swoje ołtarze —

nie dziw się więc, że w Polsce harde nosim twarze,
że przykazania Twoje dzierżą krzepkie dłonie,
dla których lekki ciężar w pokutniczym dzwonie.

Czego chcesz od nas Panie
i czego my chcemy —
dopowie smuga słońca, idąca po łanie
w kraju, gdzie moc jest szczęściem,
a każdy ból — niemy.

SANCTUS

Święty, święty —

w nawach,
w chorągwiach
i dzwonach.

Gniew leży zżęty
jak trawa.

W stuletnich stągwiach
mądrość święcona.

Święty, święty —
krzyże ruszają w mroki.
Śpiew bieli i amarantu
spływa na cierpkie stoki.

Połamane golenie,
palce połamane,
ukłękły światła, cienie,
gotyckie padły ściany.

Ścieżki skaliste
kaleczą
pielgrzymie pięty.
Gołąb z proroczym listem
w nawę, a może w wieczór
zstępuje —
Święty, święty . . .

KANON

Pośród braci jesteśmy jak wśród młodych drzew,
sumią mową liściastą.

A ten będzie rycerzem, a ten apostołem,
inny słowa uplecie i zasadzi śpiew.

I pojdziesz prawo życia, podparty niewiastą,
i urośniesz na łożu, okrzepniesz za stołem,
krokami udeptana ziemia huczeć będzie
gdziekolwiek cień człowieczy upadnie i wzejdzie —
wszędzie.

Tyłu już zdeptano, nożami pocięto,
a tyłu jeszcze czeka na wiszący cios,
o wschodzących i zgasłych pamiętaj — memento.
Ze dna to głos.

Palić was muszą stopy od prochów i kości,
co pod skibami leżą i wpadają w miedze —
Niechaj idzie szlak śmierci przy szlaku młodości!

Choćbym chciał, wspomnień swoich nigdy nie przerzedzę
żyją zgoni w nich jeszcze, zgoni dawnych braci.
W piersiach wąskich oddechów wszystkich nie pomieszczę,
lecz wnuk się prochem dziadów na pewno wzbogaci.

Gdzie są korzenie życia, korzenie narodu? —
pytają mędrzy, w księgach ukryci przed ogniem.

Tu pod nami wciąż ziemia trupy zjada z głodu
i grobowce przeżera, nim się blacha pognie,
i zacznie sączyć srebro w żyły glin i piachów.

Korzenie nasze w dziadach. My świeże listowie,
lepkie jeszcze od wspomnień i drżące od strachu,
bo już nam ziemia chciwa do rąk młodych sięga
i popiół rozsypuje, każąc hardej głowie
pochylać się pod jego suchotnicze wzloty.

Hej, ognie zapalajcie, rozbijcie namioty,
niech się dzieje przygoda i połów tęsknoty!
Niech wirują pagóry, świecące czaszkami,
bo czas zawisł, skamieniał — a przeszłość jest z nami.

Weź bracie grudę ziemi i ściśnij soczyście,
posoka ją użyźni, aż wyrosną liście —
z liści dęb, z dębu ogień, a z ognia dym wonny
dla Boga, który lata i skrzydłami swymi
chłodzi pustynie martwe i syczące skwary.

I kiedy ogień wzleci i czas wstanie dzwonny,
będzie Bóg dawał ludziom swoje ziemskie imię,
świeży, oddychający chleb Wielkiej Ofiary.

Memento! Krąg zaklęty domostwo otacza,
dziady żyją pod tobą, a nad tobą wnuki,
ciągle Bóg krew swą w ciało człowiecze przetacza,
i każe mieszkać ciału pod gotyckim łukiem,
w chłodnych kruchtach kościelnych, pod stropem kadzideł —
gdy zawoła: Pójdź za mną! — powiedz Panu: — Idę!

KOMUNIA

Gdziekolwiek jestem, gdzie się obrócę,
czekają na mnie ślady cierpliwego Boga —
zawsze są świeże.

Zmęczenie — płachta lepka, spocone onuce,
korzeń smutku wyrwany z błot grząskich — to trwoga.
Ciągle czyhają doły, pełne czarnych krzyków.

A przecież wierzę.

A przecież znamię wieczne ktoś mi wcześniej wykuł
na czole i na dłoniach, na sercu i stopach.

Ktoś nieznany dwie studnie dla spojrzeń wykopał —
w jednej chmury się topią — niebieskie przeźrocza —
a w drugiej twarz człowiecza niepokoje głazy,
odbiciem mącąc ciemność, chłód, głębię i ciszę.

Ach, ile już razy
z jednej i z drugiej studni smutek dziwny wyszedł,
i we wzroku się zachwiał i został na długo,
aż czas zaczął odpływać niewidoczną strugą
do tego, co wciąż czeka

na ścieżkach i na progach,
w tramwajach, w okrętach —
czy przyjdzie ślepy grzesznik, który się wyrzekał
tylekroć cudzych smutków, klęsk i cudzych bogów,
aby na pieśń zasłużyć, a pieśń ta jest święta.

Szawłem jestem, ty jesteś Szawłem i twój krewny,
leniwy tułacz wobec Bożych dotknięć gniewny.

Ugania się po drogach rumak pianowłosa —
Szawęł ucieka, chowa się, bo Bóg jest bosy,
i nie dosłyszysz kroków Jego w słońca pyle,
choć na piachu otwartym śladów świeżych — tyle.

Aż nagle za zakrętem,
pod kopyt tętentem,
zamigoce krzak ognia i krzyk zamigoce :

— Szawle, to Ja cię wzywam, Szawle za Mną ruszaj !
Będziesz miał dnie cierniowe i cierniowe noce,
póki się wodą żywą nie obmyje dusza
i póki hejnał serca nie odpłynie w chmury
przez dym, co ścieżką będzie lecącą do góry.

Boga się nie ustrzeżesz.
On jak cień cierpliwy
ciągle stąpa przy tobie, ślady kładzie świeże,

aż piorun nagłej Łaski strzeli w żywot siwy,
mózg rozwali, przeorze wicherą szaloną —
i przez wrota wyrwane w głąb serca, w głąb duszy
wejdzie Pan miłujący i z miłości onej
będzie skały grzeszące smugą szaty kruszył.

OREMUS

Czy wiesz, jak daleko dosięga
modlitwa Twoja ?

Wyrwy huczającej pustki
wśród szamoczących się światła.

A przecież są jakieś niewidoczne ścięgna,
których zwierzęta kosmosu się boją.

One niebo, gdzie gwiazdy lśnią jak rybie łuski,
złączyły z gnijącym światem . . .

Te włókna z twoich modlitw, z prośb twoich wyrosły,
i przecinając fale gwiazdne jakby wiosłem
zaczepiają się z wyrwami pustki, z hukami wieków
i aniołów wędrownych napotkawszy — pieką.

Wysyłasz głosy w niebo jak błędne okręty,
może który z nich fale lodowate przetnie
i odnajdzie go w progach Bożych jakiś święty.

Zbudował Pan na ziemi wysokie ambony,
cierpliwe konfesjonały,
i rozwiął nad grzechem łaski pełne dzwony
i postawił na straży kapłana cień biały.

Wiesz, biją jak topory powszednie godziny
w ścięgna modlitw napięte, jak okrętów liny,
grzech gnijąc mózg przeżera, grzech miąższ zdrowy kąsa,
a świat chwieje się, huczy w ponadziemskich wstrząsach,
i wpada w wiry planet, w opętany taniec —
rwą się modlitwy, słabnie świętych obcowanie.

Ratuj się, wysłanniku Bożych praw — włóczęgo,
ty, co dzungle karczujesz, a zasiewasz puszcze,
ty, jak gromem rażony chrztem — wieczną przysięgą,
ty tchórz swoich wspomnień, a wodzu dla tłuszczy.

Przeznaczył ci Pan okruch marny z wieków pędu,
strunę leniwie co dzień pełzającą w trzcinnie.

Nie podołasz wichurom, więc niech wargi przedą
modlitwy, których fałdy zasłonią tve winy,
i poprzez włókna drżące ziemię dadzą Jemu.

Tyle w pieśni słów. *Ite missa est. Oremus.*

Warszawa, czerwiec 1939 r.

PRZESŁANIE

MODLITWA

do Matki Boskiej Skępskiej na dzień 8 września

Z jeziora na jezioro, z kępy na kępę
pogańskie Skępe.
Aleś ochrciła je uśmiechem,
Panno, pochylona nad grzechem.

Na obraz i podobieństwo
czekającego dziewczęcia
wywiodło Cię doczesne dłuto,
iżby nawet z drewnianego poczęcia
wióry cudu padały w pokutę.

— — — —
— — — —
— — — —

Aniele, strózu mój —
Którego nie znam z twarzy ni z imienia,
Ty zawsze przy mnie stój
na urwistą odległość sumienia.

Londyn, 1953.

NOTY BIBLIOGRAFICZNE

PUBLIKACJE POETYCKIE

- Wiersze o dzieciństwie*, Dom książki Polskiej, Warszawa, 1935.
Prowincja, poemat, „Prosto z Mostu”, Warszawa, 1936.
Pierwodruk w odcinkach tyg. „Prosto z Mostu”, grudzień 1935 — stycznia 1936.
Wiersze i poematy, „Prosto z Mostu”, Warszawa, 1938.
Zaginął Arkusz poetycki (red. Józef Czechowicz) wydrukowany przed samą wojną i zawierający „Wiersz który karku nie ugnie”.
Znaki na niebie, dwa poematy: „7 dni Stworzenia” i „Msza święta”, Nakładem Przyjaciół, Londyn, 1940, dwa wydania. Pierwodruk w tyg. „Prosto z Mostu”, 1939, wyd. trzecie, Lubeka, 1946.
List otwarty do emigracji w Zaduszki, ulotka, Londyn, 1940.
Pokarm cierpki, „Myśl Polska”, Londyn, 1943.
Pogrzeb Europy, Liryki, poematy, essay o poezji. F. Mildner, Londyn 1946.
Piąty poemat, odbitka z „Kultury”, Paryż, 1950.
Modlitwy intelektu, odbitka z „Myśli Polskiej”, 31 egz., Londyn, 1950.
Sielanka stołeczna, odbitka z „Kultury”, Paryż, 1952.
Modlitwa do Matki Boskiej Skępskiej, w formie obrazka odpustowego, Londyn, 1953.
Dwadzieścia lat poezji, krótka antologia, odbitka z „Kultury”, Paryż, 1955.
Antologia liryki angielskiej, 1300-1950, Veritas, Londyn, 1958. Przekłady własne z tekstami oryginałów.

UTWORY PRZEŁOŻONE NA ANGIELSKI, Burns Singer wspólnie z autorem:

- War and Peace*, 12 epigramat ze *Sznuru pereł dla Aury*, „Time and Tide”, 14. IX. 1946.
Jealousy, Zazdrość, „Poetry Quarterly”, Winter 1946-47.
Overheard, Miniatury, „Envoy”, January 1956.
Aquarium, Kula magiczna, fragment, „Encounter”, September 1957.
Metropolitan Idyll, Sielanka stołeczna, „Botteghe Oscure”, Autumn 1957.
Stigmata, Stygmaty, „Times Literary Supplement”, 13. X. 1961.

- POWIESCI* (lista nie obejmuje wydań amerykańskich i przekładów).
The Knotted Cord, Heinemann, London, 1953.
Loot and Loyalty, Heinemann, London, 1955.
Future to Let, Heinemann, London, 1958.
Isolation, Heinemann, London, 1959, cztery wydania.
The Quick and the Dead, Macmillan, London, 1961.
That Angel Burning at my Left Side, Macmillan, London, 1963.
ANTOLOGIE I STUDIA KRYTYCZNE (wybór).
Polish Prose and Verse, University of London: The Athlone Press 1956.
Five Centuries of Polish Poetry, with Burns Singer. Secker and Warburg, 1960.
Introducing Norwid, „The Slavonic and East European Review”, December, 1948.
Collins and Książnin, „Slav. Rev.”, April 1950.
A Polish Psychoanalytical Novel of 1902, „Slav. Rev.”, December 1951.
The Mediaeval Dream-Formula in Kochanowski's Treny, „Slav. Rev.”, June 1953.
A Polish 17th Century Diarist, „Slav. Rev.”, June 1954.
The Idyll: A Constant Companion of Polish Poets, „Slav. Rev.”, December 1955.
Patriotic Irritability, „The Twentieth Century”, December 1957.
Inner Censorship in Polish Literature, „Slav. Rev.”, June 1958.
The Four Horizons, „Botteghe Oscure”, Autumn 1958.
Norwid's Letters and Poems, „Botteghe Oscure”, Autumn 1958.
Leśmian and Czechowicz, „Slav. Rev.”, June 1959.
Justified Failure in the Novels of Bolesław Prus, „Slav. Rev.”, June 1960.
The Dilemma of the Polish Artist, „The Critic”, April 1962.
Krajewski's Warsaw on the Moon, „Slav. Rev.”, June 1962.
Polish Literature in its European Context, „Slav. Rev.”, December 1962.

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 12 OCTOBRE 1965
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1965

JERZY
PIETRKIEWICZ

POEMATY LONDYŃSKIE I WIERSE PRZEDWOJENNE

23033

Cena 13,50 F. (20/-; dol. 3,00)